MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK IX. Nr 38. WARSZAWA, 1 WRZEŚNIA 1929 R. CENA NUMERU 80 gr.

KONFEDERACJA SKOMPROMITOWANYCH

W POWIEŚCI Marka Twain'a „Przygody Huck'a" znaleźć można zabawny epizod: Dwóch oszustów zapowiedziało w miasteczku amerykańskiem przedstawienie wielkiej, „przejmującej do głębi serca tragedji". Kiedy szopa, zastępująca salę teatralną, zapełniła się publicznością, a wydrwigrosze zdążyli zebrać za bilety paręset dolarów, jeden z nich zaczął przez kilka minut wywracać kozły na scenie i przybierać nieprzyzwoite pozy, poczem towarzysz jego opuścił kurtynę, spokojnie oświadczając zgromadzonym, że „przedstawienie skończone". Oszukani chcieli początkowo doraźnie ukarać hultajów, nagle jednak ktoś z publiczności wystąpił z propozycją, która pozyskała powszechne uznanie: „Niema co mówić" — odezwał się — „okpili nas, grubo okpili! Ale nie widzę racji, żebyśmy się oddawali całemu miastu na pośmiewisko, i żeby wszyscy wiedzieli, jak daliśmy się okpić dwu przybłędom... Mojem zdaniem, najlepiej będzie wyjść stąd spokojnie, chwalić widowisko i okpić naszych współobywateli tak, jak nas okpiono. Będziemy przynajmniej w towarzystwie"...

W formie humorystycznej podane tutaj zostało trafne bezwątpienia spostrzeżenia z dziedziny psychologji zbiorowej. Jeżeli znaczna ilość ludzi popełni błąd, gromadnie ulegnie hypnozie i t. p., naówczas odruchowo nieomal powstaje wśród nich solidarność we wzajemnem zabezpieczaniu się przed śmiesznością, równocześnie zaś tenże sam instynkt samozachowawczy nakazuje im starać się o to, ażeby grono popełniających wspomnianą pomyłkę stawało się możliwie najliczniejsze. Jeżeli więc jakaś grupa uzna kogoś i ogłosi za swego wodza, widząc w nim np. reformatora religijnego, twórcę nowych prądów ideowych czy wybitnego męża stanu, następnie zaś ów rzekomo genjalny człowiek zacznie pisać albo też mówić od rzeczy, wielbiciele jego tem głośniejszy podniosą niewątpliwie krzyk zachwytu, w bredzeniu bez sensu dopatrując się „ukrytej głębi", „wielkiej idei", „nieprzemijających wskazań dla narodu"... Nie bezkrytyczne zaufanie do „wodza" będzie tego powodem, ale poprostu miłość własna, za wszelką cenę usiłująca bronić się przed kompromitującem przyznaniem, że za przywódcę uważało się jednostkę o umyśle słabym, może nawet zamąconym. Jeśli zaś liczba mylących się będzie wielka, gdy ponadto rozporządzać oni będą organizacją sprawną, kapitałem, wpływami w prasie i t. d., wówczas ich samoobrona przed kompromitacją może okazać się w życiu politycznem kraju siłą, niejednokrotnie wywierającą decydujący wpływ na bieg wypadków.

Te uwagi teoretyczne, ogólne, stanowią tylko wstęp do rozważań bardziej aktualnych, które być może przyczynią się do silniejszego uwydatnienia niektórych punktów w toczącej się oddawna dyskusji na temat ideologji obozu t. zw. „sanacyjnego". W trzech artykułach, drukowanych kolejno w ostatnich zeszytach „Myśli Narodowej", p. Stefan Sacha wykazał na podstawie faktów i cytatów, że obóz ten nie posiada żadnego wspólnego programu na przyszłość, żadnego planu, według którego zamyślałby Polską rządzić i ją organizować. Skoro wszakże nie łączy „obozu pomajowego" wspólny ideał *przyszłości*, tem ważniejszym, jedynym węzłem duchowym pozostaje wspólna *przeszłość*, odczuwana pospólnie potrzeba jej uzasadnienia i obrony. Obóz „sanacji", czy wyraża go „Dzień Polski" czy „Przedświt" — to przedewszystkiem *zespół tych, którzy się mylili*: w okresie wojny światowej występowali czynnie po stronie mocarstw centralnych, w latach następnych prowadzili federalistyczną politykę na wschodzie, politykę wyprawy kijowskiej...

Żeby rozumieć doniosłość tego faktu, trzeba nie zapominać, że ci „mylący się“ stanowili gromadę liczną, posiadającą szeroko rozgałęzione wpływy, zorganizowaną. Myliła się niemal cała masonerja w Polsce, w okresie przedwojennym uzależniona podobno bezpośrednio od wielkich lóż, bądź berlińskiej, bądź budapeszteńskiej, tem samem zaś wiążąca sprawę polską z polityką Niemiec i Austro-Węgier i blisko z temi państwami współpracująca. Myliło się całe prawie młode pokolenie inteligencji, studjujące na wyższych uczelniach w latach 1908 — 1920, wychowujące się w rozmaitych organizacjach „niepodległościowych“ i zajmujące zdecydowanie opozycyjne stanowisko w stosunku do „endecji“ i jej programu: pokolenie które teraz osiągnęło wiek największej energji i wydajności pracy i nadaje ton dzisiejszemu życiu państwowemu. Należy pamiętać nakoniec, że ci mylący się właśnie, z natury rzeczy stali się jedynymi organizatorami tych zawiązków armji i administracji państwowej, które w okresie wojny światowej powstawały w kraju za zezwoleniem władz okupacyjnych. Zżyli się z myślą o swem wyłącznem, kierowniczem stanowisku w Polsce, nic dziwnego przeto, że w jego obronie rozpoczęli nieubłaganą walkę przeciw obozowi narodowemu, który już uznawali byli za nieistniejący, a który nagle, wskutek nieprzewidywanego przez nich wyniku wojny, zjawiał się w roli przedstawiciela Państwa Polskiego w szeregu dyktujących pokój państw zwycięskich.

Dla dzisiejszych „sanatorów“, świadomych posiadanych sił i wpływów, zwłaszcza zaś dla organizacji wolnomularskiej—stało się jasne, że nie mogliby oni być w odrodzonej Rzplitej żywiołem panującym, gdyby stanęli wobec opinji publicznej w postawie tych, którzy się pomylili. Trudno przecież domagać się monopolu kierowania Państwem dla ludzi, którzy choćby milczeniem tylko przyznają się, że byli w błędzie, że polityka, którą należało i należy w dalszym ciągu prowadzić, na odmiennych powinna opierać się podstawach. Tem też tłumaczy się pozornie paradoksalne zjawisko, że spory o t. zw. „orjentacje wojenne“ odnawiają wciąż z uporem i kłótliwością ci właśnie, którzy zajmowali stanowisko fałszywe. Im przedewszystkiem zależeć musi na tem, by rozbudzać namiętności, by w atmosferze nieustannego podniecenia, kłamstwa, histerycznych uwielbień, powstawał zamęt, przeszkadzający spokojnemu spojrzeniu na dzieje odbudowania Państwa Polskiego i wyciągnięciu z nich należytych wniosków.

Że to właśnie wzajemne zabezpieczanie się ludzi, którzy prowadzili błędną politykę, leży u podstaw solidarności obozu „sanacyjnego“, że wzgląd na nie góruje nad wszystkiemi innemi względami i rozstrzyga o kierunku politycznych posunięć — twierdzenie takie możnaby uzasadniać długim szeregiem dowodów, których liczba wciąż wzrasta. Wystarczy jeden, jakiego dostarczyła w ostatnich czasach dziesiąta rocznica podpisania Traktatu Wersalskiego. Nie ulegało wątpliwości, że w przededniu generalnego ataku niemieckiego na postanowienia terytorjalne tego Traktatu, dla rządu, który postanowień tych zmuszony będzie bronić, niezmiernie cenna musiałaby być manifestacja stwierdzająca, iż cały naród, niezależnie od dzielących go różnic poglądów, w tej sprawie zawsze zajmować będzie stanowisko jednolite i nieugięte. Ale ponad nakaz niewątpliwy polityki zagranicznej, silniejsze okazało się poczucie konieczności samoobrony: usunięcia za wszelką cenę w cień tego wszystkiego, co wskazywałoby, że ludzie z obozu „sanacyjnego“ zajmowali w czasie wojny światowej stanowisko polityczne fałszywe, że odbudowa Państwa Polskiego w dzisiejszych jego granicach możliwa była jedynie, jako skutek zdecydowanego zwycięstwa mocarstw sprzymierzonych nad Niemcami.

To ujęcie obozu „sanacyjnego“, jako jakby „konfederacji skompromitowanych“, organizacji wzajemnego ubezpieczenia tych, co się pomylili, pozwala także wytłumaczyć fakt, niezmiernie dla dzisiejszych stosunków w Polsce znamienny, a mianowicie zupełny zanik wpływów tego obozu w pokoleniu najmłodszem. Poprostu ci, co w życie polityczne wchodzić zaczęli po r. 1920, byli jeszcze zbyt młodzi, by mieli czas opowiedzieć się — choćby tylko uczuciowo—po stronie fałszywej. Sądu ich nie mąci żadne wspomnienie własnych błędów, które chcieliby usprawiedliwić, sumień nie trapi potrzeba uzasadniania stanowisk, które się uzasadnić nie dadzą. Na dzieje odbudowania Państwa Polskiego spoglądają już, jako na zdarzenie historyczne, nic dziwnego, że z faktów wyciągają wnioski, że o wiele wyraźniej rozeznawać umieją zasługi i winy. I daremne byłyby nadzieje obozu „sanacyjnego“, że dużo w tem zmieni odpowiednie spreparowanie podręczników szkolnych lub suggestja oficjalnych uroczystości. Ostatecznie, trudno w całym programie szkolnym mieć za cel przyuczenie do prawidłowego wnioskowania logicznego, wiązania wzajemnego przyczyn i skutków, nagle zaś zapomnieć o tem przy wykładzie historji, poczynając od r. 1914; trudno uczyć pewnych zasad postępowania, a następnie wychwalać pod niebiosa czyny, z niemi niezgodne; trudno kształcić smak młodzieży na arcydziełach piśmiennictwa polskiego i obcego, aby z kolei za wzory pięknej formy i myśli głębokiej stawiać jej... niektóre wywiady i przemówienia... Nazbyt wielką trzebaby przeprowadzić rewolucję w całym systemie nauczania, jeśliby miałaby stać się rzeczywiście skuteczna.

Obóz „sanacji“, jego „myśl“ polityczna, powstały z potrzeb jednego pokolenia inteligencji, ratującego w taki sposób swoją pozycję i swoją kolej kierowania losami narodu, pomimo błędów, jakie poprzednio popełniło. Dłużej, niż na to jedno pokolenie, ich nie stanie.

JAN REMBIELIŃSKI

NA SŁUŻBIE PORZĄDKU

ZNANY powieściopisarz francuski Paweł Bourget wydał niedawno książkę „Na służbie porządku". Jest to zbiór krytyk literackich, artykułów, spostrzeżeń i uwag na najrozmaitsze tematy religijne, społeczne i polityczne. Czytelnik znajdzie studjum o Tainie z okazji setnej rocznicy jego urodzin, krytykę dzieła Bertranda o Ludwiku XIV, omówienie głośnych prac de la Gorce'a o panowaniu Ludwika XVIII i Karola X. Zbiór zawiera również uwagi o Filipie II i św. Teresie, o sojuszu francusko-angielskim, bolszewizmie, prawie własności i prawie spadkowem, o głosowaniu rodzinami, jak i o wykształceniu kobiet, o roli proboszcza oraz o papieżu Piusie X. Mimo tak różnorodnych tematów ożwia książkę jedna myśl, nadająca zbiorowi zwartość i konsekwencję. Myślą tą jest służba porządkowi.

Pisze o tem Bourget w ciekawej bardzo przedmowie. Wszystkie zagadnienia ludzkie sprowadzają się według niego do „wielkiej kwestji porządku", jak się wyrażał August Comte. Tylko porządku nie należy utożsamiać wyłącznie z ładem na ulicy, który często zasłania ukryty chaos, mogący nagle gwałtownie się uzewnętrznić. Świadczą o tem przykłady. Bourget czerpie je z historji Francji z ostatniego stulecia. Rewolucja w r. 1848 zupełnie zaskoczyła króla, który uważał, że w kraju panuje spokój i zadowolenie. Drugie cesarstwo również, zdawało się, zapewniało ład, tymczasem komuna w Paryżu wybuchła w rok po plebiscycie na rzecz Bonapartego. A jeżeli znalazła ona tylu zwolenników, to dlatego, że nieład rozwijał się w umysłach społeczeństwa za Napoleona III, mimo materjalnego dobrobytu.

Bourget uważa, że przyczyną rewolucyj nie jest wyłącznie rozwiązłość obyczajów. Ostatecznie mało kiedy dwór królewski we Francji był tak bogobojny, bezinteresowny, oszczędny, pracowity, patrjarchalny jak za Ludwika XVI. A jednak rewolucja przyszła...

Przyczyna katastrofy tkwiła gdzieindziej: w nieładzie myśli, „w fermentacji niesprawdzonych teoryj socjalnych i politycznych", która ogarnęła sferę intelektualną. Dlatego tak doniosła jest maksyma Pascala: „Nauczmy się dobrze myśleć". „Oto zasada etyki, a zarazem" — jak twierdzi Bourget — „polityki".

A dobrze myśleć, to znaczy poddać się doświadczeniu historji. Wówczas łatwo wyciągnąć wnioski: „Religijne poszanowanie Boga, rodziny, tradycji, własności, życia ludzkiego jest... jakby warunkiem *sine qua non* narodowego dobrobytu we wszystkich krajach i po wszystkie czasy. Istnieje więc według formuły Le Playa — konstytucja podstawowa. Stosować się do niej, to znaczy być w porządku".

Książka jest rozwinięciem założeń, zawartych w przedmowie. Broni w niej autor cywilizacji rzymskiej i katolickiej oraz jej podstaw: religji, narodu, rodziny, własności. Broni poglądu na świat, opierającego się na tradycjach dziejowych. Zwalcza te wszystkie fermentacje umysłu, które ciągną się od reformacji, poprzez Voltaire'a i Rousseu'a, poprzez doktrynerstwo liberalizmu i socjalizmu, znajdując ostateczny wyraz w bolszewizmie. I stwierdza na przykładzie francuskim, że ilekroć Francja oddalała się od tego nieładu umysłowego, wzmagała się jej siła, wzrastał w kraju porządek. Stosowanie tych doktryn sprowadzało prędzej czy później anarchję i klęski.

Zainteresować nas powinny zwłaszcza uwagi o francuskiem cezaryzmie demokratycznym, którego Bourget bardzo nie lubi, nazywając go jedną z trzech „bardzo niebezpiecznych mistyfikacyj", jakie panowały we Francji w wieku XIX. „Pierwszą z tych mistyfikacyj"—pisze— „był cezaryzm militarny i demokratyczny, nazwany też bonapartyzmem. Zaprowadził nas do Waterloo i do Sedanu. Restauracja natomiast była realną próbą empiryzmu organizującego". A dalej: „Imperjum Napoleona III było nowym powrotem do mistyfikacji cezaryzmu i w tym okresie rozwinęła się trzecia mistyfikacja, najgroźniejsza ze wszystkich: republika, czyli mówiąc po prostu rewolucja".

Bourget słusznie uważa cezaryzm demokratyczny za odgałęzienie doktryny liberalno-demokratycznej, za zaprzeczenie uporządkowanej i gwarantującej porządek myśli. Cezaryzm demokratyczny ściągnął na Francję burze socjalne i klęski. Nawet Napoleon I zostawił Francję mniejszą, niż ją zastał.

Warto sobie te rzeczy uświadomić w Polsce, gdzie system cezaryzmu demokratycznego stosowany jest od trzech lat i gdzie chcianoby go utrwalić przy pomocy projektu konstytucyjnego Bezpartyjnego Bloku Współpracy z Rządem. Pisząc o nim w „Awangardzie", wskazałem, że ideowo i jeśli chodzi o założenie doktrynalne, nie różni się on od dotychczasowego systemu: opiera się on na ludowładztwie i na tych doktrynach, które sprowadzają nieład.

W istocie bowiem przewrót majowy nie był żadnym przewrotem umysłowym. Stąd pochodzi jego jałowość i niezaradność. Po trzech latach, jeśli chodzi o pozytywne i konstruktywne działanie w przebudowie ustroju państwa, znajduje się ciągle na tem samem miejscu.

Drugą przyczyną jego niepowodzenia i bezradności jest nieład myśli, o którym właśnie pisze Bourget. Niewątpliwie istnieją w „obozie pomajowym" jednostki i grupy, któreby pragnęły zrobić coś pozytywnego. Naogół jednak jest to ciągle zbieranina najrozmaitszych kierunków, która mimo wysiłków nie zdołała po trzech latach stopić się w jakąś zwartą i uporządkowaną całość. Podobnie jak w r. 1926 istnieją dziś w „obozie majowym" grupy najrozmaitsze. Ilość ich nawet wskazuje wyraźne tendencje wzrastania. Przeważnie wszystkie tkwią mniej lub więcej silnie nie w empiryzmie, lecz aprioryzmie doktrynalnym.

A pozatem, jak wynika z projektu B. B., „porządek myślenia", tak jak chce Bourget, i stosowanie się do tej „konstytucji podstawowej", o której pisał Le Play, jest „obozowi majowemu", a przynajmniej jego sferom kierowniczym całkiem obce, i to nawet grupom konserwatywnym, prześcigającym się w radykalizmie politycznym z socjalistami rządowymi. Od Bezpartyjnego Bloku nie idzie na kraj poczucie ładu intelektualnego, nie idzie poczucie spokoju i pewności, co jest zasadniczym warunkiem porządku w kraju. Wręcz przeciwnie.

Dowodem siły są jedynie złośliwe, a przeważnie szkodliwe zarządzenia personalne oraz wzmocniony system policyjny. Stosuje się go wobec wszystkich, nawet wobec „swoich", wskutek czego przestaje sprawiać wrażenie. Ale nawet skierowanie całego wysiłku policyjnego przeciw prawdziwym wrogom państwa, to znaczy komunistom, nie prowadziłoby do celu. Komunistów nie pokona się jedynie metodami policyjnemi, ale przedewszystkiem przeciwstawieniem im uporządkowanej myśli, rządzeniem według zasad porządku

społecznego, o jakim mówi Bourget, oraz wychowaniem społeczeństwa w tych zasadach. Komunizm jest konsekwencją nieładu myślowego. Jak go usunąć, skoro nietylko nie ma się zrozumienia dla podstawowych zasad porządku, ale nawet nie docenia się znaczenia formalnej strony ładu, to znaczy prawa?

Polska od lat dziesięciu cierpi na brak ładu i porządku. Niema ich w sposobie myślenia tych czynników, które nadają jej ton od zarania niepodległości. Jeżeli Polska czego pragnie, to właśnie wprowadzenie owej „konstytucji podstawowej". Chce, by wreszcie kierowała nią myśl uporządkowana i jasna, wywodząca się z doświadczenia dziejowego, a nie z chimerycznych i apriorystycznych doktryn, nawiązująca do tradycji, do religji, uznająca znaczenie rodziny, słowem będąca wyrazem cywilizacji rzymskiej i katolickiej, a więc i polskiej. Dopiero gdy te zasady zapanują w Polsce, będzie można powiedzieć, że nastąpił przewrót umysłowy, że po latach ukrytej anarchji intelektualnej nadszedł okres porządu, zabezpieczający nas przed rewolucją i bolszewizmem, który, korzystając z ogólnego chaosu, szerzył się nietylko wśród warstwy robotniczej, ale nawet wśród inteligencji.

Wówczas dopiero nastąpiłby okres, przypominający czasy „restauracji" we Francji. Dlatego też — wróćmy do książki Bourgeta—szczególnie cenne jest to, co pisze on o szczęśliwem panowaniu Ludwika XVIII, obdarzonego nietylko uporządkowanym umysłem, ale również umiarem i szerokim horyzontem oraz o przeciwstawionym mu Karolu X, pozbawionym zmysłu realizmu i zrozumienia epoki, pragnącym ciągle powracać do czasów, które ostatecznie usunęła rewolucja. To go zgubiło. Panowanie Ludwika XVIII charakteryzowało natomiast szybkie podźwignięcie Francji z upadku.

W Polsce również czekamy na okres „restauracji" nietylko politycznej, ale i umysłowej. Im szybciej to nastąpi, tem będzie lepiej.

RYSZARD PIESTRZYŃSKI

MASONERJA A ZWIĄZKI „PROFANÓW"

PIERWSZYM czynem zatwierdzonej w r. 1918 Wielkiej Loży Wiedeńskiej było utworzenie „Wydziału Pracy Kulturalnej" (*Kulturarbeitsstelle*).[1]) Miał to być pomost pomiędzy Wielką Lożą a związkami nie-masońskiemi, które jednak albo stoją od początku swego istnienia pod kierownictwem członków lóż, albo też które masonerja chce zdobyć, przeniknąć i uczynić swem narzędziem. Związki te bowiem służą masonerji do szerzenia swoich idej i pozyskiwania nowych członków. Obejmują one szeroki zakres działania, od czysto filantropijnego do politycznego.

Związki te nie są specjalnością czysto austrjacką. Wszędzie, gdzie istnieje masonerja, zakładane są takie związki. Nazwy ich różnią się niekiedy od nazw związków austrjackich, wszędzie jednak masonerja działa przy ich pomocy na rzecz swych celów. W Niemczech np. należą tu przedewszystkiem związki „wolnomyślne", wchodzące od 1907 r. do „Kartelu Weimarskiego", lub też stanowiące składową część założonej w 1923 r. w Magdeburgu „Wolnomyślnej Gminy Robotniczej" (*Freigeistige Arbeitsgemeinschaft*), następnie t. zw. „*Vorhafgemeinden*", jak np. *Comenius-Verein* i inne, jak *Verein zur Pflege der Wissenschaft und der Volkserziehung*, *Galilei-Klub*, T-wo Socjologów, Wolna Szkoła Socjologów, wreszcie— co czytelnika polskiego zainteresuje specjalnie—niemiecki Związek Sokołów w Gdańsku, mający być „szkołą przygotowawczą dla niektóryoh lóż", „przygotowywać członków do późniejszego przyjęcia ich do masonerji".

Nie jest rzeczą pewną, czy związki austrjackie znajdują się dziś pod opieką i kierownictwem owego „*Kulturarbeitsstelle*", zdaje się bowiem, że ów Wydział Pracy Kulturalnej dziś nie istnieje i że robota w związkach profanów przeszła dziś w Austrji automatycznie do lóż. Wiadomo jest też, że utworzono jakiś inny organ „międzylożowy", jakieś „biuro ewidencyjne", zbierające wiadomości co do „możliwości roboty masońskiej", mające zastąpić raporty, składane lożom uprzednio przez Wydział Pracy Kulturalnej. W lutym 1929 r. wzywano wszystkich członków lóż do zastanowienia się nad tem, jak wprowadzać idee masońskie w życie. Odrazu przystąpiono do propagandy za pośrednictwem radja.

Dr. Hergeth[2]) odnosi się do filantropijnej działalności lóż sceptycznie, twierdząc, że ukrywa ona istotne cele masonerji, a utrzymywana jest również i dlatego, że w dużym stopniu służy i żydowskim interesom. Zajmuje się natomiast w pracy swej szczegółowo związkami, poświęconemi działalności kulturalnej, owej działalności, o której brat Emil Frenkel wyraził się (w styczniu 1915 r.): „Dobra jest działalność filantropijna, lepsza — działalność kulturalna".

Do związków kulturalnych, pozostających w ścisłym związku z masonerją, należą przedewszystkiem istniejący od 1887 r., a zatem od tegoż mniej więcej czasu, co austrjacka masonerja:

1) „Wolnomyśliciele". Celem ich jest propaganda wolnej myśli, głównem zadaniem—zwalczanie klerykalizmu. Związek ich z wolnomularstwem był zawsze ścisły, a ujawniło się to w całej pełni na kongresie masońskim w 1905 r. Wielki Wschód Francji wydał wtedy dla wolnomyślicieli bankiet (na 3000 nakryć), wolnomularstwo i wolnomyślicieli nazywano w przemówieniach „mlecznemi siostrami, z tej samej krwi i kości, mającemi te same cele i zadania". Rozdźwięk wniosła wprawdzie chwilowo materjalistyczna organizacja wolnomyślicieli z Południowej Francji, ale dało to tylko powód do tem serdeczniejszych wynurzeń innych członków organizacyj.

Dr. Hergeth opowiada o interesującym skandalu, jaki wybuchnął w 1923 r. wśród wolnomyślicieli austrjackich, charakteryzującym w samej rzeczy panujące w związku wolnomyślicieli prądy i opinje. Członek wolnomyślicieli, brat Carraro, odkrył mianowicie, że jeden z głównych referentów wolnomyślicieli dr. Feri, nie jest, jak przepisuje związek, bezwyznaniowcem, ale płaci składki na gminę izraelicką. Jest rzeczą bardzo ciekawą, że kierownik związku wolnomyślicieii, brat Frentzel, nie uważał tego za przestępstwo nie do darowania, ale Carraro i Haller (autor broszury w tej sprawie, zatytułowanej „*Mehr Licht*") wystąpili ze

[1]) Porównaj artykuły: „Masonerja austrjacka i jej stosunek do Żydów oraz „Masonerja a polityka" w nr. nr. 35 i 37 „Myśli Narodowej".

[2]) „*Aus der Werkstatt der Freimaurer und Juden im Oesterreich der Nachkriegszeit*", 1927, L. Stocker, Gratz.

związku i założyli nowe stowarzyszenie *„Freigeist“* oraz pismo pod tą samą nazwą.

W 1912 r. prof. Polaco charakteryzował w *„Monistische Jahrhundert“* dwa kierunki, istniejące wśród wolnomyślicieli. Pierwszy zajmuje się wyłącznie kwestjami etyki, wolnomyślicielstwa i wychowania w tym duchu, drugi włącza do swego działania i politykę. Do tego drugiego kierunku należą wolnomyśliciele francuscy, a niewątpliwie również i austrjaccy, skoro w 1923 r. kręcili się żywo koło założenia „międzynarodowej socjalistycznej organizacji wolnomyślicieli“ z siedzibą w Wiedniu, uznającej oficjalnie, jako wyraz przekonań, naukę Marxa i mającej za zadanie „niszczenie religijnej mieszczańskiej ideologji w umysłach pracującego proletarjatu“. Na kongresie w 1924 r. przyjęli do swego grona sowieckie „Stowarzyszenie Naukowe Ateistów“, co zostało powitane przez członków z wielkiem uznaniem.

2) Równie blisko masonerji, jak wolnomyśliciele, stoi Związek Etyczny, założony przez prof. Jodla, „prawdziwego wolnomularza bez fartuszka“, kierowany potem przez masona Wilhelma Jerusalem, członka *B'nai B'rith.* Zadaniem jego jest „wyzwalanie prywatnego i publicznego życia z kościelnych, religijnych i metafizycznych przesłanek“. Nie połączył się on z lożami i istnieje jako oddzielny związek tylko dlatego, że, jak stwierdzał prof. Jodl w 1894 r., członkowie jego „nie chcą tajemnic, ani symboliki, ani niczego, co przypomina kult“.

W 1896 r. związek został częścią składową *„International Union of ethical Societies“*. Wydaje dwutygodnik *„Ethische Kultur“* i dzieli się na sekcje: pedagogiczną, społeczną i literacką, która zajmuje się lansowaniem artykułów w codziennej prasie. Członkami jego są prawie wyłącznie żydzi, należący do *B'nai B'rith.*

3) Gmina Etyczna ma za cel „wyswobodzenie ludzi ze społecznych, narodowych i wyznaniowych przesądów“. „Kto nie walczy i nie chce być wychowawcą, nie należy do nas“, głosi jej program.

4) *Bund für Gebortenregelung*, założony w 1919 r. walczy o zniesienie §§ 144—148 prawa karnego, dotyczącego kar za spędzanie płodu.

5) Międzynarodowy Związek Praw Kobiet jest niejako przedłużeniem poprzedniego, występował również przeciw § 144.

6) Austrjacki Związek Obrony Matki występuje przeciw „niesprawiedliwościom, które narzuca duch kościelny“ i zajmuje się reformą seksualną. Wydaje pismo *„Mitteilungen der Bundes für Mutterschutz“*.

7) Związek Reformy Prawa Małżeńskiego, złożony z „braci“ chrześcijan i żydów, ma za jeden z głównych celów zniesienie prawa, które uznaje za nieważne małżeństwa pomiędzy chrześcijanami i niechrześcijanami.

8) Wolna Szkoła, związek powołany do życia w 1905 r. w celu „obrony szkół wszelkich kategoryj od klerykalizmu“, organizuje „Kursy dla szerokich mas“, „średnie“ i „wyższe kursy“; przedmiot wykładów stanowi głównie socjologja.

9) Związku Przyjaciół Dzieci autor nie charakteryzuje, możemy się jednak domyśleć, że działa on w tym samym duchu, co Wolna Szkoła.

10) *Socialpädagogischer Gesellschaft*, związek wychowania ludu i młodzieży w duchu masońskim i pacyfistycznym.

11) *Gesellschaft zur Friedenserziehung.*

12) *Weltjugendliga*, która wychowywać ma młodzież w duchu „przedewszystkiem międzynarodowym“.

13) *Internationale Frauenliga für Frieden und Freiheit.*

14) Związek 6-iu austrjackich *Friedensgesellschaften*, czynny już w czasie wojny. Dr. Hergeth, patrjota niemiecki, zarzuca im, że przygotowywały w 1918 r. wybuch rewolucji w Austrji. Wiadome jest, że w 1919 r. związki te założyły Unję kontroli demokratycznej nad polityką zagraniczną. (Taka sama Unja istniała w 1919 r. w Londynie pod nazwą *Union of Democratic Control).*

15) *Soziologische Gesellschaft.*

16) Związek Powszechnego Obowiązku Wyżywienia *(Allgemeins Nährpflichtverein)* propagujący ideę Poppera-Syrkensa (żyda z ghetta wiedeńskiego), o której masoni wyrażali się, iż „może stać się platformą, na której stojąc, osiągnąć możemy wpływ na życie polityczne“. Pomysł Poppera-Syrkensa polega na utworzeniu armji wyżywienia, która produkowałaby wszystko, co jest człowiekowi niezbędnie potrzebne do życia. Każdy dostawałby — w naturze — mieszkanie, życia, ubranie i opiekę lekarską. To, co wychodzi poza *miuimum* należałoby do wolnego pieniężnego obrotu.

17) Charakter polityczny ma Związek Unii Paneuropejskiej, popierający myśl hr. Coudenhove-Kalergi (osobistość znana, mason, należący od 25 stycznia 1922 r. do loży *Humanitas* w Wiedniu, ożeniony z aktorką żydowską Idą Roland, dawniej Klausner) utworzenia światowej republiki. Idea utworzenia Stanów Zjednoczonych Europy już dawniej istniała w lożach, hr. Coudenhove-Kalergi plan ten przystosował do nowych okoliczności. O programie swoim mówi sam jego twórca: „Żydzi, mieszkający w Palestynie, nie wejdą w skład Pan-Europy. Położenie innych żydów przez zniszczenie narodowych szowinizmów i przeprowadzenie istotnej, pełnej równości zostanie polepszone“. Nic dziwnego, że i syjoniści, z amerykańskimi Warburgami na czele, i *B'nai B'rith*, i masonerja, i „organizacje pokojowe“ popierają pomysł hr. Coudenhove-Kalergi.

Posiadając tego rodzaju związek, jak unja paneuropejska, austrjacka masonerja mniej gorliwie popiera Ligę Narodów, pomimo, że, jak mówił brat Adler już w 1918 r. „idea ta (Ligi Narodów) zrodzona z naszych związków, urzeczywistnia nasze ideały i nikt nie jest w tym stopniu powołany do prowadzenia jej, jak nasza wszechświatowa masonerja“. Jednakże i w Wiedniu założono

18) Związek Ligi Narodów.

19) Istnieje również w Wiedniu Żydowski Związek Ligi Narodów, którego prezydentem jest członek *B'nai B'rith* Chajes.

20) I wreszcie ilustrujący słowa do Hergetha o zwalczaniu przez masonerję wszystkich nacjonalizmów z wyjątkiem żydowskiego, Związek wolnych sjonistów, założony w 1925 r. Związek ten zajmujący się wewnętrzną polityką Austrji, pozostawiający członkom wolną rękę do działania politycznego w ramach żydowskich narodowych organizacyj, czuwać ma nad tem, aby żydzi różnych kierunków politycznych mogli brać udział „w materjalnem i moralnem odbudowaniu Palestyny“. Przewodniczącym związku jest znany mason, Matys Piekarski, jeden z najwybitniejszych członków austrjackich lóż.

21) Najprawowitszem dziecięciem masonerji nazywa autor założone w 1913 r. *„Bereitschaft“* (Pogotowie), zajmujące się pozornie filantropią, faktycznie mające za zadanie „nieść wiedzę społeczną w różne warstwy społeczeństwa“. *„Bereitschaft“* dążyło do tego,

pisał brat Kohn-Colbet w „*Zirkel*“, aby odejmować schroniskom dziecięcym czysto filantropijny charakter, a zamieniać je we wzorowe ogniska społecznego wychowania.

Jak wyglądała ta działalność „*Bereitschaft*“, wiemy z jednego tylko głosu, ale jest to głos znamienny, pochodzi bowiem od jednej z najwybitniejszych feministek niemieckich, Galke, inaczej Ruth Fischer, z domu Elfriedy Eisler. Pisała ona (w „*Rother Soldat*“) o roli jaką odegrało stowarzyszenie w 1918-ym roku. „W najcięższych czasach wojennych, pod panowaniem najsroższej przemocy zbieraliśmy się, aby naszemi pismami utrzymywać w czujności sumienie naszych czasów i rewolucjonizować ducha“. „Możemy z dumą powiedzieć, że w ramach naszej organizacji przyczyniliśmy się do zwycięstwa nowych prądów“. Dalsze słowa artykułu, mówią o agitacji na rzecz komunistów.

Świadczy on o tem, że w ramach działalności masońskiej mieszczą się nietylko radykalne prądy religijne, ale i radykalne prądy społeczne.

MACIEJ WIERZBINA

LITERATURY SŁOWIAŃSKIE

LUBIMY sobie dworować z Francuzów, że nie mają pojęcia o geografji Europy, ale przyganiał kocieł garnkowi a sam smoli: o najbliższych naszych krewniakach słowiańskich nie wiele więcej nieraz wiemy, niż Francuzi o nas, o ich historji, literaturze, języku. Znała Kongresówka Rosję i nieźle, wiedział Kraków co nieco o Czechach, bardzo zresztą niewiele, z Rusinami Lwów się codziennie stykał, więc z konieczności o nich wiedział, ale już np. o Serbach tyleśmy wiedzieli, że fajki po miastach Galicji roznoszą i że kiedyś rapsody o Kosowem Polu tworzyli, a wiadomości nasze o Słowieńcach były jeszcze więcej mgliste, o Łużyczanach zaś to poniektóry Polak bodaj czy wogóle słyszał. Teraz po wojnie dużo się zmieniło na lepsze, ale dobrze jeszcze nie jest. Jeżeli się ograniczymy do dziedziny literatury, to można się dziś doskonale zorjentować w rosyjskiej, dzięki znakomitej książce Brücknera p. t. „Historja literatury rosyjskiej“, nieźle w czeskiej i słowackiej dzięki pożytecznej książce J. Magiery.

Dla innych literatur słowiańskich nic podobnego nie posiadamy. Co do praktycznej znajomości piśmiennictw słowiańskich utrudniona ona bardzo wskutek braku dobrych przekładów. Najwięcej ich jeszcze w zakresie literatury rosyjskiej, choć przeważnie nieświetne, mało się tłumaczy z czeskiego, a już wyjątkowo z innych języków słowiańskich. Całokształtu literatur słowiańskich nikt nie tykał od Mickiewicza. I oto dzięki tyle zasłużonemu nauczycielowi, co nam o przeszłości kultury naszej i okolicznościowo o kulturze innych narodów słowiańskich prawił, dostajemy książkę, z której niezłe będzie można powziąć wyobrażenie o wszystkich literaturach słowiańskich.[1]) Z wstępu dowiadujemy się, jaka jej geneza: oto miała ona być częścią podręcznej encyklopedji słowianoznawczej, którą zainicjowała przed paru laty lwowska firma wydawnicza K. S. Jakubowskiego. Wydawnictwo do skutku nie doszło, jak to nieraz bywa, działy już opracowane postanowiono jednak opublikować. Dział p. t. „Zarys dziejów literatur słowiańskich“ Brücknera i „Zarys dziejów słowiańskich języków literackich“ Lehra-Spławińskiego postanowiono wydać razem. Charakter encyklopedyczny obu działów i ich pierwotna względna niezależność tłumaczą ich zwięzłość i brak ściślejszego związku kompozycyjnego, ale tylko ściślejszego. We wstępie do działu pierwszego określa Brückner charakter literatur słowiańskich traktowanych jako całość, wyjaśnia, dlaczego ich jednak jako całości przedstawiać nie może, gdy mianowicie wskutek historycznego rozwoju zbyt mało wykazują wspólnych cech, by się je dało w ten sposób ujmować; wytyka zakres pojęcia literatury w tej książce, więc zaznacza, że będzie tu tylko mowa o literaturze pięknej z wyłączeniem literatury łacińskiej: polsko-łacińskiej, czesko-łacińskiej, dalmacko-łacińskiej. Następuje zwięzła ale wystarczająca bibljografja, dla całokształtu literatur słowiańskich i dla poszczególnych literatur, zaczem rzecz sama; podzielił ją autor na dwie części: wieki dawne (do końca XVIII w.) i wiek nowy (do r. 1914). W części pierwszej traktuje Bałkan i Ruś (całą) razem, zaczem osobno Czechy i osobno Polskę. Traktowanie łączne Bałkanu i Rusi jest o tyle słuszne, że, zwłaszcza w pierwszych wiekach, oba te odłamy słowiańszczyzny posługują się jednym językiem literackim, mianowicie językiem staro-cerkiewno-słowiańskim, a ich literatury mają ten sam charakter nieoryginalny, tłumaczeniowy i kościelny. Później dopiero zakwita kwiat twórczości ludowej, na Rusi w postaci bylin i dum na Bałkanie, u Serbów w postaci epickich utworów o Kosowem Polu, o królewiczu Marku etc. Mówiąc o literaturze na Rusi, podkreśla Brückner pilnie wpływ literatury i języka polskiego, zwłaszcza w wieku XVII, na Bałkanie wskazuje na cieplarniany kwiat literatury dubrownickiej, zakwitły pod wpływem kultury włoskiej i humanizmu.

Przechodząc do zachodniego odłamu słowiańszczyzny, Czech-Polski, zaznacza Brückner niezmiernie ważny moment różnicy zachodu od wschodu słowami: „łacina kościelna otwierała uczniowi drogę w świat myśli, wiedzy i sztuki, lektura cerkiewna (psałterza przeważnie) ją zamykała; niema więc nauki — postępu na wschodzie słowiańskim, one obowiązywały na zachodzie“. Podnosi dalej autor, mówiąc o literaturze czeskiej starszej, jej doniosły wpływ na początki literatury polskiej. Polską starszą scharakteryzował doskonale, jak trudnoby można lepiej, w króciutkim ustępie na 12 stronach. W szczegóły się wdawał nie będę, zwrócę tylko uwagę na dwa momenty, które wysuwa Brückner, tłumacząc spóźnienie znaczne w rozwoju literatury narodowej w Polsce: obcoplemienność miast (Niemcy), obojętność umysłową, brak szlachetnej ambicji, spółzawodnictwa, energji duchowej żywiołu polskiego i przedewszystkiem szlachty. We wstępie do części drugiej: Wiek nowy (do r. 1914) zauważa autor, że wszystkie literatury słowiańskie, poza rosyjską i polską, wchodzą w nowy okres z pustemi rękami, przestrzeń czasu między wiekiem dawnym a nowym to dla nich *tabula rasa* którą trzeba całkiem od nowa zapisywać. Zwróciwszy uwagę na wspólny wszystkim literaturom słowiańskim w nowym okresie panslawizm, na wspólny wszystkim ucisk cenzuralny, wspólny wszystkim charakter partykularny, wskazuje na nierównie ważniejsze różnice, dzielące literatury słowiańskie, np. ogromną między polską a rosyjską,

[1]) Lwowska Bibljoteka Slawistyczna. Tom dziewiąty. Aleksander Brückner i Tadeusz Lehr-Spławiński: „Zarys dziejów literatur i języków literackich słowiańskich“. Lwów 1929. Nakład i własność K. S. Jakubowskiego.

co dwa zgoła odmienne światy stanowią. Dla wykształconego czytelnika, nie uczonego specjalisty, najciekawsza będzie ta właśnie część druga, czasy nowsze traktująca. Czytelnik, znający literatury słowiańskie praktycznie, z lektury, wdzięczny będzie autorowi, przewodnikowi doskonałemu po tym lesie mieszanym, gdzie obok dąbrów wspaniałych, polskiej i rosyjskiej, płozi się sośnina karłowata białoruska, pracowicie się rozkrzewia chłopska tarka czeska, bałkańskie płonki o miedzę od siebie, a przecież dziw jak różnie bujają. Daje autor ocenę wartości poszczególnych literatur, naogół słuszną i sprawiedliwą, wychwytuje swoiste cechy literatur trafnie. Jeżeli chodzi o poszczególnych autorów, nieraz jednak, wedle mego zdania, przecenia ich albo niedocenia. I tak, jeżeli chodzi o autorów rosyjskich, jak ja uważam, zbyt wysoko postawiony Puszkin, mocno wydęto wielkość Turgeniewa, a Dostojewski, prawda że wielki, ale zbyt słabo albo raczej nic nie podkreślony rys patologiczny jego twórczości, własności trujące jego owoców i wpływ mocno ujemny na społeczeństwo polskie w Kongresówce przedwojennej, — co powiedziałem o Dostojewskim, powtórzyłbym także o literaturze rosyjskiej wogóle. Nie zgadzałbym się z wartościowaniem poszczególnych autorów także w innych literaturach, tak przecenił, myślę, Brückner Szewczenkę, Orkana, nie docenił Serba Szaulicia, Słoweńca Županowicza, przemilczał „ruskiego Żeromskiego", Stefanyka, że dla Czecha Bezrucza, „bardzo śląskiego" znalazł tylko słowa uznania, to mi jest dość dziwne: wszak ten poeta złej woli i nienawiści wkłada w usta Ślązaków cieszyńskich, których uważa oczywiście za Czechów gwałtem wynarodawianych, skargę: jednych nas sto tysięcy spolszczyli, drugich sto tysięcy zniemczyli... Ale to szczegóły, o które można się spierać, w całości przedstawiony nowy okres literatur słowiańskich świetnie, zwłaszcza swoisty charakter każdej z nich (inna rzecz, że miejscami przedstawienie jest chorobliwie chude). W zakończeniu stwierdzono katastrofę panslawistycznej idei w literaturze, która po wyzwoleniu narodów słowiańskich straciła rację bytu, stwierdzono też zeszczuplenie roli literatury w życiu wolnych już narodów słowiańskich. Bardzo słusznie wstrzymał się autor od przedstawienia i oceny literatury powojennej: zawcześnie jeszcze na to. A teraz, czego się dowie z książki Brücknera czytelnik, który nie zna praktycznie literatur słowiańskich, z lektury? Oto, że poza literaturą rosyjską i polską, do zapoznawania się z innemi niema się co palić narazie, o ile się nie ma zupełnie specjalnych w tym kierunku zainteresowań i umiłowań — poznanie przecie jest cenne.

Czytelnik, który zna literatury słowiańskie, stwierdzi z prawdziwą przyjemnością, że autor o jakimkolwiek utworze pisze, sam go bezpośrednio poznał i przeżył, że ma o każdym poecie (*Excepto* Bezrucz, p. wyż.) i o każdym utworze sąd własny, niezależny, przeważnie trafny, a niejednokrotnie ujmujący oryginalnością. Jednego tylko można żałować, że rzecz referowana to taki szczupły szkic tylko, że nie obszerne dzieło o słowiańskich twórcach i ich płodach, okraszone ile można tychże płodów próbkami, w najlepszych przekładach. Życzyć należy ogółowi czytającemu i autorowi, by taka książka jeszcze z pod jego pióra wyszła.

Tak oryginalna osobowość jak prof. Brückner nic dziwnego, że ma także zgoła swoisty język. Nie tu miejsce szczegółowo jego właściwości roztrząsać, zaznaczę tylko jeden drugi rys—szczegół: otóż właśnie takich tworów, takich t. zw. kopulatywnych złożeń w książce omawianej cały szereg się spotyka—pospolite one w języku rosyjskim, zwłaszcza ludowym. Prof. Brückner, spoufalony z językami słowiańskiemi, sądzi, że każdemu słowianinowi wolno w swoim języku wedle wzorów innych języków słowiańskich postępować; tej oryginalnej jego śmiałości zawdzięczamy takie twory jak: Krasicki elegant w słowie, piśmie i czynie—życiu, bohaterów pilnych w myśli—zamiarze, Pan Podstoli wzór — obraz światłego obywatela, Dostojewski dziełami, Tołstoj i nauką — systemem... zawojowali Europę, strasznemi kontrastami nędzy—śmierci (z mrozu), odtworzyć krytycznie—naukowo... dzieje Piastów etc.; z rosyjskiego języka przejął autor formację „lubiciel" (sc. oświaty greckiej); rusycyzmem jest użycie czasownika ulec się w znaczeniu przenośnem: „gdy się uległy te walki" rusycyzmem: Nowikow ruch wydawniczy nadzwyczajnie uskorzył; nie polskie też, rosyjskie albo niemieckie są „dzielne" szkice wsi slawońskiej Józ. Kozarca; rosyjskie jest nie odmienianie obcych nazwisk np. od Carducci do Annunzio, również Taine i Brandesa (dlaczego już nie konsekwetnie: Brandes?) naśladował etc. Nie chcąc posądzać prof. Brücknera o wulgarność, wolę widzieć rusycyzm także w zwrocie: jakich... w Petersburgu jeszcze można było uwidzieć. Nie ogranicza się autor do pożyczek z ruszczyzny, bierze także od Czechów-braci: tak upodobał sobie i bodaj kilkanaście razy stosuje czasownik, „piastować" w znaczeniu: uprawiać np. Jasiński erotyczne tematy piastował, Duchniewicz piastował... pieśń narodową, wszyscy ci lirycy... piastowali koniecznie epikę historyczną (tutaj także i „koniecznie" dość oryginalnie wygląda), piastował ideę słowiaństwa; nawet szkoły się u Brücknera piastuje (p. str. 148). Łatwiej się godzimy z zrozumiałemi archaizmami u badacza średniowiecznej literatury polskiej, obdarzonego fenomenalną pamięcią, więc np. z takiem brojeniem: Mordoweć historyczne powieści pisywał, ale więcej po rosyjsku broił; zamilczał (odtąd Mažuranić) zamiast powszechnego dziś „zamikł", także będzie ze starszej polszczyzny. Trudno nam się pogodzić z dowolnością prof. Brücknera wobec języka w takich rzeczach, jak wsuwanie w imię teorji „e" ruchomego tam, gdzie się go powszechnie nie używa np. we zbiorze, we mdłą i bezbarwną literaturę, we spółpracy, ze kpinami etc., usuwanie „e" wstawionego z form, które je zresztą u wielu pisarzy wykazują, mniej razi, np. w formie humoresk etc.

Prof. Lehr-Spławiński w swoich „Dziejach języków literackich słowiańskich" dał rzecz, której potrzeba była równie paląca, jak potrzeba „Dziejów" Brücknera, rzecz, której dotychczas ani nawet próby nie mieliśmy. Jeżeli, co się tyczy literatur słowiańskich, możnaby ostatecznie próbować jakiegoś syntetycznego przedstawienia, to próba takiego przedstawienia rozwoju języków literackich słowiańskich zgóry jest wykluczona, co już z istoty przedmiotu wynika. To też „Dzieje" profesora Lehra-Spławińskiego składają się z 11 szkiców, przedstawiających dzieje poszczególnych języków słowiańskich literackich, dziesięciu żywych i jednego martwego, cerkiewno-słowiańskiego. Dlaczego autor temu martwemu językowi na 35 stron swojego zarysu aż 5 poświęca, zrozumie snadno czytelnik, mający w pamięci Brücknerowych „Dziejów" części I rozdział 1. Bałkan i Ruś, skąd się dowiedział, że język staro-cerkiewno-słowiański był organem literatury w tych krajach od jej początków przez wieki całe. Z artykułu Lehra-Spławińskiego dowie się czytelnik, że język staro-cerkiewno-słowiański ma dla studjum słowiańszczyzny niepospolite znaczenie dlatego, że jest dla nas surogatem nieprzekazanego języka prasłowiańskiego, a następnie ze względu na rolę, jaką odegrał u słowian prawosławnych, a zwłaszcza u ruskich: wy-

warł on tam mianowicie znaczny wpływ na kształtowanie się nowych języków literackich, opartych zasadniczo na ludowej podstawie. Językom żyjącym wydzielono miejsce bardzo nierówno, co rzecz zupełnie zrozumiała wobec różnicy wieku, liczby członków każdego ze społeczeństw językowych, o których mowa i wagi kulturalnej każdego z nich. Najwięcej miejsca poświęcono językom rosyjskiemu, czeskiemu, polskiemu, w proporcji następującej, rosyjskiemu jako językowi najliczniejszego narodu słowiańskiego, który wydał bogatą literaturę, czeskiemu ze względu na jego rolę w kształtowaniu się polskiego języka literackiego, no i wreszcie polskiemu nie tylko ze względu na *pretium affectionis*, ale także ze względu na „poziom jego wyrobienia i bogactwa bodaj najwyższy w słowiańszczyźnie". Obaj autorowie nie wstrzymują się od niepozbawionego niebezpieczeństwa subjektywizmu wartościowania objektów swoich badań. I ja nie wstrzymam się od sądu, również oczywiście subjektywizmu nie pozbawionego: odmówię racji Brücknerowi, wartościującemu najwyżej literaturę rosyjską, rację przyznam Lehrowi-Spławińskiemu w jego ocenie języka polskiego jako najwięcej wydoskonalonego ze wszystkich języków słowiańskich. Ocena wartości to rzecz zawsze zawodna i nieistotna. Daleko ważniejsze jest przedstawienie ewolucji poszczególnych języków literackich słowiańskich i dla czytelnika także ciekawsze. Otóż pod tym względem autor wykonał swoje zadanie doskonale—w ramach wyznaczonego sobie szczupłego miejsca przedstawił rzecz wyczerpująco, nie pomijając żadnego ważniejszego momentu, a powiedział wiele rzeczy ciekawych, dla czytelnika zapewne nieraz nowych. Tak nowością będzie zapewne dla niego wiadomość, że „dzisiejszy język literacki rosyjski jest właściwie dalszym ciągiem języka cerkiewno-słowiańskiego, który przeniesiony w końcu w. X na Ruś w charakterze języka liturgicznego, stawszy się na kilka wieków organem piśmiennictwa i mową potoczną warstw wykształconych, ulegał powolnemu ruszczeniu". Nowością też będzie zapewne dla niego wiadomość, „że niema dziś w słowiańszczyźnie dwu innych języków literackich, któreby pod względem słownictwa i frazeologji stały sobie równie blisko, jak małoruski i polski" — twierdzenie to w swojej bezwzgledności i precyzji uderzy także zapewne niejednego slawistę. Zdziwi się niejeden czytelnik, gdy się dowie, że najpoważniejszym wiekiem cieszą się z języków literackich słowiańskich dwa, którychby o to może nie podejrzewał, tj. serbo-chorwacki i czeski, bo dadzą się już konstatować na przełomie wieków XII i XIII, gdy polski zaczyna się formować z końcem w. XIII, a właściwie dopiero w w. XIV.

Zgodne z sobą w czasie powstania różnią się bardzo owe języki pod innym względem: gdy czeski od samego początku jest jeden jednolity, wyszedłszy z jednego narzecza środkowo-czeskiego, na którego terytorjum leży stołeczna Praga, najdawniejsze i główne centrum życia kulturalnego Czech — to na obszarze językowym serbo-chorwackim do dziś właściwie jeszcze nie wykrystalizował się z kilku w różnych ośrodkach kulturalnych wcześnie wyhodowanych języków literackich jeden wspólny i ogólny. Najwięcej miejsca poświęcił autor językowi polskiemu i słusznie także z punktu widzenia czytelnika, najciekawszego rzeczy swojskich. Na pierwszy plan wysunęła się, rzecz zrozumiała, sprawa pochodzenia polskiego języka literackiego, o którem autor, jak już skądinąd*) wiemy, ma swoje zdanie, które tu zasadniczo podtrzymuje, stwierdzając pochodzenie języka polskiego, literackiego wielkopolskie—powiadam zasadniczo, bo ostatniego badania prof. Nitscha, ogłoszone w rozprawie p. t. „Z historji narzecza małopolskiego" („*Symbolae grammaticae in honorem Joannis Rozwadowski*", II, Kraków 1929 str. 451—466), każą wzajemny stosunek udziału narzeczy wielko— i małopolskiego w sprawie wytworzenia djalektu kulturalnego odrobinę przesunąć na korzyść djalektu małopolskiego. Znana jest także, ale tu mocniej podkreślona, rola wpływu sąsiednich języków ruskich, biało— i małoruskiego na formowanie się języka literackiego polskiego i to od wieku już XV-go—później zaznacza się do dziś trwająca ekspansja języka polskiego na terytorja ruskie.

Zakończę uwagą, oczywistą, że pełną korzyść z lektury szkicu prof. Lehra-Sptawińskiego odnieść może tylko czytelnik zorjentowany w elementach gramatyki porównawczej języków słowiańskich. Zwłaszcza studenci-slawiści wdzięczni będą autorowi za uprzystępnienie wiadomości, z któremi dotąd tylko w wykładzie ustnym spotykać się mogli. Można dodać życzenie, żeby ten piękny, pożyteczny szkic pojawić się mógł w niedalekiej przyszłości, rozszerzony i wzbogacony, jako osobna książka. Jeszcze dodam, że w załączonej do szkicu bibljografji autor zachował złotą miarę, tak, że może być ona rzeczywistą pomocą, a nie przedmiotem zakłopotania.

EDWARD KLICH

*) T. Lehr-Spławiński: „Problem pochodzenia polskiego języka literackiego". Przegląd Współczesny, Nr. 53. (wrzesień 1926)

STROFY

SZCZĘŚCIE OJCOWE

Siedzi jeszcze — niemowa
na traw wonnym kożuchu;
po buzinki ciepłym puchu
błądzi dłoń ojcowa.

Trzepie rada beztroska
rączynami ślicznoty;
po owalu główki złotej
płynie dłoń ojcowska.

W gaworzenia bezradzie
z ustek robi się trąbka;
na obliczku się dzieciątka
całus ojca kładzie.

W nieodpartej potrzebie
z główką zrosła się głowa;
ustom szczęsno adorować
przed słońcem i niebem.

HEJ, ŻYCIE!

Hej, życie! życie! życie! —
piekieł dno i nieba szczycie;
płytki brodzie — głębio mórz;
nocy i kaskado zórz
na błękicie!

Hej, życie! — drogo mleczna
i w głazie męko serdeczna;
tańcu i potopie łez;
różo i bagiennych rzęs
gro wszeteczna!

Hej, życie! — czczy tumanie —
gmachu o najdroższej ścianie;
w nicość kroku — schodzie schód;
w proch podwoje — bramo wrót
w niemijanie!

STANISŁAW BĄKOWSKI

LIBERUM VETO

Atlas kultury polskiej.—Nasz bilans gospodarczy w opracowaniu Komitetu Wystawy Poznańskiej. — Nauka polska.—Przodownictwo Wielkopolski.

GDY wojna przełamała się na stronę Koalicji i zapowiedziano zakończenie jej traktatem, w którym miały być rozstrzygnięte i nasze losy, opracowałem „Atlas kultury polskiej“ na użytek naszych delegatów i uczestników kongresu. Obejmował on, oprócz tekstu objaśniającego, kilkadziesiąt tablic, na których w mapach, rysunkach i wykazach przedstawione były główniejsze dziedziny naszego życia narodowego. Wykonano te tablice starannie, pouczająco i artystycznie. Niektóre z nich odsłaniały i obrazowo uwidoczniały prawdy nieznane i niespodziewane. Tak np. po obliczeniu zasobu słownikowego główniejszych języków europejskich okazało się, że polski jest najbogatszy, co wyobrażono w zestawieniu różnej wielkości ksiąg. Pierwsze miejsce zajęła Polska również pod względem płodności ludzkiej. Ten Atlas obudził wielkie zainteresowanie. Oglądało go wiele osób zajmujących w społeczeństwie wybitne stanowiska, u mnie i na jednem z zebrań towarzysko-politycznych u Henryka Radziszewskiego. Prof. Lutostański, zbierający materjały pomocnicze dla Komitetu Narodowego w Paryżu, zaproponował mi nabycie tego Atlasu. Oddałem mu go za zwrotem kosztów opłacenia rysownika. Czy on był gdziekolwiek i w jakimkolwiek celu zużytkowany i co wogóle z nim się stało, dotychczas nie wiem, bo nikt nie uważał za potrzebne o tem mnie zawiadomić. Przyznać jednak muszę, że takie postępowanie jest w stylu naszych obyczajów, lekceważących cudzą pracą i nieznoszących ścisłości w obowiązkach.

Przypominam ten fakt dlatego jedynie, że on poniekąd wiąże się z ogromnem, dwutomowem dziełem, wydanem przez komitet Wystawy Poznańskiej p. t. „Bilans gospodarczy dziesięciolecia Polski odrodzonej“. Jest to praca zbiorowa pod redakcją prof. S. Zaleskiego przy współudziale dr. W. Schramma i dr. E. Taylora. Na tysiącu kilkudziesięciu stronach, w 48 rozprawach i artykułach przedstawiono obszar i zaludnienie Polski, jej rolnictwo, ogrodnictwo, leśnictwo, przemysł we wszystkich gałęziach, komunikacje, obrót pieniężny, finanse publiczne, stosunki społeczne i organizacje zawodowe.

Niepodobna nawet w najogólniejszych zarysach objąć bogatej treści dzieła, w którem nawet dla zwykłego czytelnika jest wiele rzeczy ciekawych, a dla specjalnego badacza pouczających. Wartość tych sprawozdań nie jest równomierna, bo zależna nie tylko od zdolności autorów, ale także od ilości materjału dowodowego. Tak np. gdy przemysł, posiadający wykazy ścisłe i różnostronne, przedstawiano w obrazie szczegółowym i wyczerpującym, ogrodnictwo w szkicu konturowym. Niektóre jednak działy należało i można opracować obszerniej. Gdybym miał odpowiedzieć na pytanie, jakie są najpilniejsze potrzeby w Polsce, na pierwszych miejscach umieściłbym: szkołę i drogę. Otóż „gospodarka drogowa“, nakreślona została niewystarczająco dla pobudzenia rządu i społeczeństwa do wzmocnienia starań w tej dziedzinie. Gdy cudzoziemcy zwiedzają nasz kraj, nic ich nie gorszy bardziej, niż osławione, zaniedbane drogi polskie. Gdy podczas wojny weszli do nas Niemcy, przedewszystkiem zajęli się poprawą naszych komunikacyj i pozostawili po sobie cenną pamiątkę w postaci kilku szos pośpiesznie zbudowanych. Ludność miast, patrząca na wybrukowane i wyasfaltowane ulice, nie ma pojęcia nie tylko o stanie dróg krajowych, ale o ich szkodliwości gospodarczej. Jest to zadawniona, ciągła i straszna klęska. Nie można zaś dziwić się tej nieświadomości mieszczan, bo ani rząd ani najbardziej zainteresowana, bezpośrednio widząca i odczuwająca wielkie szkody ludność wiejska, nie objawiają należytego ich zrozumienia i chęci usunięcia. Wszystkie narady gminne w tej sprawie kończą się zwykle twardym i tępym oporem chłopstwa, powtarzającego bezmyślnie: ,,Tak było za Boga Ojca, niech i tak będzie za Boga Syna“. W tym wypadku, zarówno jak w wielu innych, doświadczenie wykazało, że skutkiem ciemnoty niższych warstw społeczeństwa pewne dobrodziejstwa nie dadzą się wprowadzić samorządową zgodą i wolą, lecz muszą być nakazane. Nie pojmuję, dlaczego można zmuszać ludzi do oświaty, do szczepienia ospy, do nakrywania studzien, do pobielania domów, a nie wypada ich zmuszać do poprawy dróg, na których przepadają ogromne sumy w zniszczonych wozach i w sparaliżowanej komunikacji.

Półtorawiekowe istnienie narodu w trzech zaborach wytworzyło trzy odmienne rodzaje jego kultury, które dotąd jeszcze nie sharmonizowały się i nie uwydatniły swoich różnic. Dotąd nie wiemy dokładnie, jakie każda z tych dzielnic ma aktywa i pasywa w swoim bilansie i jak je należy wyrównać. Od kilku lat Kasa Mianowskiego wydaje zbiorowe sprawozdania p. t. „Nauka polska“, wykazuje, jaki jest w tej dziedzinie nasz dorobek i jakie braki. Dzięki tym referatom każdy inteligentny człowiek dowiaduje się, gdzie ma szukać zaspokojenia swych pragnień umysłowych, i każdy badacz, które pola nauki nie są jeszcze dostatecznie uprawiane i wymagają pracy. Jest to buchalterja naszej umysłowości, jej kalendarz informacyjny. Otóż znakomitem dopełnieniem tego wydawnictwa jest „Bilans gospodarczy“ wystawy poznańskiej. Tam mamy obraz kultury duchowej, tu materjalnej. Nie potrzebujemy już w żadnej dziedzinie życia błąkać się po manowcach domysłów, mamy wskazane, ile dróg we wszystkich kierunkach przeszliśmy i co nam jeszcze do przebycia pozostaje, ile zdobyliśmy i ile zdobyć musimy. Niedawny to czas, kiedy nasza publicystyka, pozbawiona ścisłych informacyj, rzucała w opinję społeczeństwa twierdzen fantazyjne, wysnute z domniemań a niekie dogadzających jakiemuś celowi. Podawano z powietrza zaczerpnięte cyfry, podrabiano fakty, snuto bajki, które malowanemi pochodniami miały oświecać życie narodu. Teraz ta fantasmagorja musi zakończyć swoje widowiska. Nie zakończy się ona jednak zupełnie dopóty, dopóki społeczeństwo nie okaże bezwzględnej rzetelności, a organy rządowe—dokładności. Częścią skutkiem nabytego w niewoli nałogu kłamstwa, a częścią skutkiem nieujawniania obecnie prawdy majątkowej, aby zmniejszyć nadmierny ciężar podatkowy, nawet poparte dowodami cyfry statystyczne nie są wierne. Nie można się łudzić i trzeba przyznać, że bezlitosna i bezrozumne podatki wywołały w wielkich rozmiarach oszustwo oświadczeń, bardzo niemoralne i bardzo naturalne. Gdy ludzie wpadają w niedostatek przez szczerość, ratują się obłudą. Jednocześnie aparat urzędowy do zbierania materjału statystycznego jest bardzo lichy. Czy urząd gminny oblicza ściśle, ile każdy mieszkaniec posiada wozów, kur, świń lub pni pszczół? Ot poprostu zapełnia rubryki z pamięci lub z informacji sołtysów, która nie zawsze jest rzetelna. Pomimo tych braków i uchybień rejestracja naszego dorobku społecznego już znacznie się poprawiła, o czem

świadczy księga gospodarcza komitetu wystawy poznańskiej.

Stanowi ona objaw przesuwania się punktu ciężkości naszego życia narodowego do Wielkopolski. Jest to fakt z wielu względów pocieszający. Naprzód, że tętno tego życia, osłabione przez zabójczą i ohydną działalność „sanacyjną“ w centralnym obwodzie państwa, wzmocniło się na kresach północno-zachodnich, powtóre, że przewodnictwo objęła dzielnica kulturalnie najbardziej rozwinięta i potrzecie, że największa siła gospodarcza objawiła się tam, gdzie ona jest najpotrzebniejsza do obrony narodu od naporu potęgi dla niej najgroźniejszej. Głupia i ślepa zawiść, która już nieraz pobudziła hordę „sanacyjną“ do upośledzania i znieważania Poznańskiego, będzie dalej zniżać jego wyższość, ale ponieważ „dłużej klasztora, niż przeora“, ufajmy, że ono nie ulegnie intrygom i napaściom, że zachowa swoją energję w odradzaniu i budowaniu Polski. Niech tam na zachodzie stanie się niezwyciężoną twierdzą, nad którą unosić się będzie duch wielkiego monarchy, spoczywającego w jej łonie.

ALEKSANDER ŚWIĘTOCHOWSKI

GŁOSY

KATOLICYZM A PACYFIZM

NIEDAWNO padły ostre zarzuty przeciw Stronnictwu Narodowemu z powodu poglądu, wyrażonego w „Myśli Narodowej“ z 3 sierpnia b. r.:

„— Kultura, do której należymy, kultura zachodnia, rzymska i katolicka, oparta jest na nakazach poświęcenia dóbr niższego gatunku dla dóbr wyższych, dóbr materjalnych dla dóbr duchowych, jest to kultura ofiary i poświęcenia, stawiania wyżej sprawiedliwości niż pokoju, uznania wojny w imię świętej sprawy... Także ideały etyczne, głęboko zakorzenione w naszych duszach, nakazują nam walkę z bezdusznym i materjalistycznym pacyfizmem, stawiającym brutalny, poziomy i bezpośredni interes jednostki ponad interesy zbiorowości narodowej, ludzkości i ducha“.

Srogie gromy posypały się z tego powodu z łamów „Robotnika“, na naczelnem miejscu dnia 5-go sierpnia b. r., przeciw wyznawcy takich poglądów, który

„— ...nie przemawia jako idealista i katolik, lecz jako poganin i barbarzyńca“...

Otóż tak się składa, że zamiast wchodzić w rozumowania, osłabiające ten zarzut pogaństwa i barbarzyństwa, można przytoczyć... świadectwa.

Zupełnie równocześnie katolickie pismo francuskie „*Documentation Catholique*“ w zeszycie z 3 sierpnia b. r. ogłosiło w całości kazanie mgr. Sagot du Vauroux, biskupa Agen, wygłoszone 26-go maja r. b. w kościele w Casteljaloux, z powodu dnia djecezjalnego działalności wśród młodzieży, a poświęcone zagadnieniu: młodzież katolicka a pacyfizm.

Oto niektóre ustępy tego kazania, w którem ks. biskup z Agen przedstawił naprzód zło i obyczaje wojny, a dalej mówił:

„— Lecz, czyż ma się prawo iść dalej i oświadczać, jak nie obawiają się to czynić niektórzy z dużym nakładem wielkich słów, że wszelka wojna jest zbrodnicza? Nie, moi drodzy przyjaciele. Zanim się dojdzie do starcia, mężowie stanu winni poszukiwać rozwiązania zatargów, które ich dzielą, oraz poruszyć sposoby dyplomatyczne, których mogą użyć, a bardzoby zbłądzili, gdyby się kierowali dumą narodową lub ambitnemi pożądaniami. Na jakąż to wielką bowiem wystawiają się odpowiedzialność, jeśli nie dojdą aż do tych granic, które oddzielają życzliwość i poczucie słuszności od obrony spraw najbardziej uprawnionych i najdroższych! Innemi słowy, wojna jest niedozwolona, gdy można jej uniknąć, ale gdy wojna tylko pozwala ocalić cześć, prawa, ziemię ojczystą, najsurowsza moralność uznaje ją za słuszną. Dziesięcioro Przykazań mówi: nie zabijaj!, a jednak nikt was nie potępi, jeśli siłą odeprzecie napad mordercy lub choćby złodzieja... Zbrodnią byłoby właśnie przyjmowanie bez oporu rozbioru i pustoszenia ojczyzny!

Przedewszystkiem strzeżcie się i ustrzeżcie, o ile tylko możecie, przyjaciół waszych przed przewrotnemi i wyzutemi z rozsądku (*perverses et insensées*) doktrynami pacyfizmu, antymilitaryzmu, internacjonalizmu. Nie bądźcie z liczby tych, którzy chcą zniesienia wojen za wszelką cenę. Powtarzam jeszcze raz, że wzywamy z całego serca do poczucia słuszności i do miłosierdzia. Ale na nowe najazdy na nasz kraj, na nieszczęścia takie, jak w r. 1870 i 1914, nie, nie, na to nie zgodzimy się nigdy...

Służba wojenna jest szlachetną szkołą wyrzekania się swych dogodności. Uczy się tam poświęcenia pod wszelkiemi postaciami, poświęcenia swobody przez karność, poświęcenia dobrobytu, bo dla służby wojennej trzeba zgodzić się na dotkliwe braki, poświęcenia rodzinnego i rozłąki może na zawsze, poświęcenia może najcięższego tj. narażania się na śmierć, bo z tych, którzy idą do ataku, nikt nie jest pewien, że wróci żyw. Cnoty wojenne są spuścizną francuską, bądźmy z nich dumni i zazdrośnie strzeżmy ich godności, byle nie były one stosowane inaczej, jak dla obrony spraw świętych“...

Być może, iż po zapoznaniu się z tem kazaniem nasi pacyfiści socjalistyczni i inni, głoszący hasła pacyfizmu bezwzględnego, będą ostrożniejsi w powoływaniu się na katolicyzm.

Jeśli zaś potrzebne jest jeszcze jakieś uzupełnienie, taksamo z ostatnich dni, można przytoczyć słowa, które wypowiada w „*Echo de Paris*“ d. 16 sierpnia b. r. jen. de Castelnau, nietylko jeden z najznakomitszych wodzów francuskich, ojciec trzech poległych w wojnie synów, ale także przewodniczący Ligi Katolickiej francuskiej:

„— W chwili, gdy mężowie stanu zbierają się, celem zorganizowania pokoju powszechnego i wiecznego, przypomnienie, iż ten zamysł szlachetny i olbrzymi przerasta możliwości ludzkie oraz uprzytomnienie najboleśniejszych rzeczywistości tego świata nie powie nic nowego ludziom trzeźwym, ale nie będzie zbyteczne nigdy i nigdzie.

Zjawi się to przypomnienie na czasie tam w Hadze, w środowisku i otoczeniu uwodzicielskiem. Tam to zetknięcie się dusz płomiennych i błogość dobrobytu w kraju, którego nie zburzyła wielka zawierucha, sprzyja rozkwitowi najbardziej ujmujących złud. A wówczas oczarowane tem umysły skłonne są do niebezpiecznego porzucania najniezbędniejszych rękojmi przeciw nowemu rozpętaniu najstalej trwających i śmiertelnych namiętności.

Bo przecież z drugiej strony Renu władze najbardziej powołane Rzeszy poczytują sobie za obowiązek stawianie nieznużone nigdy przed oczy narodu celów, do których ma zmierzać polityka wewnętrzna Państwa Niemieckiego, w szczególności na wschodniej ścianie Niemiec. Niewątpliwie, cele te mają być osiągnięte grą zręcznej i potężnej działalności dyplomatycznej. Lecz jeśli te sposoby okażą nieskuteczne dla uzyskania celu, czyż niema innych dróg, na których można uzyskać zniszczenie Traktatu Wersalskiego i jego następstw moralnych i materjalnych? Wedle wiadomości ze strony ludzi doświadczonych i pewnych, wydaje się, iż wychowawcy młodzieży niemieckiej, dalecy od odwracania jej od tych krwawych widoków, usiłują ją raczej w tym kierunku przygotować“...

Oto drugi głos, męski i katolicki, który doskonale objaśnia, dlaczego pacyfizm bezwzględny, ślepy, oderwany od rzeczywistości, nietylko nie jest cnotą ale ciężkim grzechem przeciw własnemu narodowi, przeciw ludzkości, przeciw sprawiedliwości na świecie, przeciw samemu nawet pokojowi, który jest tak ogromnem dobrem w życiu narodów.

ST. ST.

ARABSKIE ENDEKI

ZNAŁEM blisko jednego z wybitniejszych ministrów spraw zagranicznych polskich, dla którego wyraz „endek“ znaczył tyle, co antysemita, a że antysemityzm przeszkadza bardzo w karjerze i o żydach rozmawiać—zdaniem jego—należało przyciszonym głosem, „endek" znaczył w jego oczach tyle, co po francusku *troble fête, gâte—joi*, a w ustach dziecka: „bardzo be“.

Takich „endeków“ na świecie jest jednak na gust polskiego Pitta czy Rockefellera dużo zadużo. Widziano ich w początku tego miesiąca w Norymberdze, jak z gumowemi pałkami tłumnie spacerowali po mieście Dürera i Stwosza, wygrażając co trochę żydom, a w końcu miesiąca pokazało się w Jerozolimie, że „hakenkreuzleryzm“ szerzy się epidemicznie także w narodzie emirów i że „zapach trupi“ zmieszany jest tam teraz z wonią czosnku i cebuli.

Im Osten viel Neues: „W Jerozolimie — brzmią mianowicie komunikaty z tego frontu — panuje nastrój niesłychanego podniecenia i zdenerwowania“. Gdy czytamy te opisy, współczujemy, bo się nam przypomina groza szarż na ułanów krakowskich (patrz akt I-szy „Antychrysta“ Rostworowskiego) oraz inne dni, bolesne i krwawe. Wtedy jednak nie zginęło 30 talmudystów, nie zginął, o ile nam wiadomo, ani jeden, przeciwnie mieli się spyszna.

Czy położenie jest bez wyjścia? Nie; pozostają w stosunku do Arabów trąby, ośle szczęki i pomoc angielska, o ile samoloty rządu J. Kr. Mości będą istotnie trafiały w Arabów, a nie w naród wybrany, jak podobno dotąd stale się działo, i o ile—jak domagają się tego „znawcy wojskowi Palestyny“ — p. Mac Donald zdecyduje się wysłać na (słabo asfaltowane) ulice Jerozolimy ułanów angielskich dla tępienia wywrotowców w burnusach. Zdecydować się co rychło powinien, gdyż w przeciwnym razie — że to nieszczęście nigdy samopas nie chodzi — grozi zdemolowanie przez „mniejszość“ naszą pałacyku hr. Branickiego (Nowy - Świat 18), będącego, jak wiadomo, siedzibą poselstwa angielskiego w Warszawie.

KRAK.

WYCHOWANIE NARODOWE

LEKKOMYŚLNE PRZYWILEJE

PRZED paru tygodniami donosiły dzienniki o nowem zarządzeniu p. Ministra WR i OP., mocą którego absolwenci wydziałów humanistycznego, fizykomatematycznego i pedagogicznego Wolnej Wszechnicy Polskiej uzyskują przy egzaminach nauczycielskich do szkół średnich takie same prawa jak magistrowie uniwersytetu. Przywilej ten ograniczony jest o tyle, że tyczy się tylko osób, które posiadają gimnazjalne świadectwa dojrzałości. Egzaminy dyplomowe na Wolnej Wszechnicy odbywać się mają pod przewodnictwem delegata Ministerstwa.

Czytając o tem, każdy człowiek, któremu dobro szkolnictwa średniego leży na sercu, musi się smętnie zadumać. Bo jest to dalszy etap na drodze dziwnych ułatwień i ulg co do poziomu wykształcenia, przy których pomocy nasze władze państwowe rekrutują korpus nauczycielski szkół średnich.

Wiadomo, że armja naszych nauczycieli szkół średnich jest dziś bardzo różnolita co do wykształcenia. Po zaborcach odziedziczyliśmy różne typy dyplomów nauczycielskich, a po szkolnictwie prywatnem polskiem w Królestwie wielu długoletnich nauczycieli o minimalnem nieraz wykształceniu. Przy pomocy dość skomplikowanej ustawy o kwalifikacjach nauczycielskich władze szkolne starały się w swoim czasie zachować zasadę praw nabytych oraz zwolnić od egzaminu wszystkie osoby, które zasługiwały na to ze względu na dłuższą służbę w szkolnictwie. Był to system generalnej amnestji, zasadniczo słuszny, ale w praktyce wprowadzający do szkolnictwa na stałe mnóstwo sił nauczycielskich drugorzędnych pod względem kwalifikacyj. Ponadto zorganizowano w t. zw. „okresie przejściowym“ cały szereg krótkotrwałych kursów, które miały zapełnić luki w szeregach nauczycielskich. W ciągu dwu lat, a niekiedy nawet w ciągu roku można było na takich kursach „w czasie przejściowym“ zdobyć upragniony dyplom nauczycielski. Szeregi „dyplomatów“ wśród nauczycieli rosły i rosną ustawicznie, bo jeszcze ciągle odbywają się tak zw. egzaminy uproszczone, t. j. bardzo łatwe egzaminy dla nauczycieli nieco dłużej pracujących w zawodzie.

Obok tego jednak istnieją przepisy normalne, w myśl których przed właściwym egzaminem nauczycielskim (o charakterze głównie pedagogicznym) trzeba zdobyć magisterjum uniwersytetu oraz odbyć dwuletnią praktykę pedagogiczną w gimnazjum.

W ten sposób normalna droga do zawodu nauczycielskiego szkół średnich przedstawia się dziś jak jakaś szeroka szosa, wiodąca przez uniwersytet i opatrzona różnemi rogatkami egzaminów. Obok niej jednak biegną różne drobne ścieżyny, które nie przechodząc wcale przez budynki uniwersyteckie i wolne od utrudnień poważnych egzaminów, równie pewnie, a — znacznie prędzej wiodą do tego samego stanowiska w zawodzie nauczycielskim. Władze szkolne wyjaśniały dotychczas, że wszystkie te ułatwienia obowiązują tylko na czas przejściowy i służą tylko dla nauczycieli zapóźnionych z egzaminami z powodu wojny.

Ale teraz, właśnie oto w tym roku, już chyba długo po „czasie przejściowym“, utworzono, jak widzimy, nową boczną ścieżkę do zawodu nauczycielskiego, dając prawa uniwersyteckie absolwentom Wolnej Wszechnicy w Warszawie. Czy to istotnie było potrzebne? Czy brak nauczycieli tak dotkliwie daje się nam we znaki? A jeżeli tak—to gdzież są stypendja państwowe, gdzież podjęto próbę jakiegoś zachęcenia młodzieży uniwersyteckiej do zawodu nauczycielskiego? Czy Wolna Wszechnica jest istotnie *malum necessarium?*

Bo sprawa ta ma jeszcze drugą stronę w związku ze stanowiskiem Wolnej Wszechnicy w rozwoju naszego szkolnictwa wyższego. Nikt nie ma zamiaru negować zasług dawnego Tow. Kursów Naukowych, później Wolnej Wszechnicy, w czasach zaborczych i następnie w czasie okupacji niemieckiej. Jednakże dziś znaczenie Wolnej Wszechnicy zmalało niepomiernie wobec istnienia szeregu państwowych uniwersytetów, zaspokajających naogół potrzeby młodzieży polskiej.

Nie chcemy nic ujemnego mówić o kwalifikacjach ciała profesorskiego Wolnej Wszechnicy, w którem jest pewna liczba profesorów „pożyczanych“ ze szkół akademickich, pewna liczba osób, ubiegających się jeszcze o docentury w szkołach akademickich i (największa może) takich, którzy przestali już się o nie ubiegać. Jednakże skład i charakter słuchaczów? Szkoły akademickie warszawskie nie są przecież do tego stopnia przepełnione, żeby inteligentny maturzysta szkoły średniej nie mógł

dostać się do którejkolwiek z nich. Wolna Wszechnica musi tedy z konieczności zadowalać się kontygentem, który z tych czy innych względów nie dostał się na uniwersytet.

Stąd wynikają przewidziane w przepisach Wolnej Wszechnicy, bardzo znaczne ułatwienia w przyjmowaniu słuchaczów bez świadectwa dojrzałości, stąd także (a może skądinąd) wynikają także fakty, że np. w r. 1923/24 na 508 katolików było w Wolnej Wszechnicy 308 osób wyznania mojżeszowego, a 60 „bezwyznaniowych", a w r. 1924/25 na 611 katolików — 501 osób wyznania mojżeszowego, ponadto zaś 71 bezwyznaniowych. Jeżeli postawimy hypotezę, niezbyt bodaj daleką od prawdy, że wśród „bezwyznaniowych" ogromna większość — to także żydzi, musimy stwierdzić, że w roku tym blisko połowa słuchaczy—to byli żydzi *). Nie próbujemy sprawdzać statystyki wyznaniowej czy narodowościowej wykładających, choć wydaje nam się, że byłaby do tamtej dosyć zbliżona.

A charakter studjów? Słuchacze Wolnej Wszechnicy— to przeważnie ludzie mający jakieś stałe zajęcie w Warszawie (nauczyciele, urzędnicy itd.), a więc przybywający na wykłady wieczorne po całodziennej ciężkiej pracy zawodowej. Można sobie wyobrazić, jak to się odbija na intensywności pracy naukowej!

Rozporządzenie p. ministra ogranicza przywileje W. Wszechnicy do osób, posiadających matury szkoły średniej. Prawie można powiedzieć: temci gorzej! Bo mamy poważne wątpliwości, czy dużo znajdzie się słuchaczy tego typu i pochodzenia aryjskiego w dodatku. Słuchacze Wolnej Wszechnicy z maturami—to bodaj przeważnie żydzi. Czy więc chodziło o stworzenie jakiejś *école normale* dla szkolnictwa żydowskiego w Polsce?

Oczywiście, nic nam nie zależy na przeciwdziałaniu uczelni w rodzaju Wolnej Wszechnicy. Jeśli ktoś, zamiast na uniwersytecie, woli szukać wiedzy w Wolnej Wszechnicy u p. Radlińskiej, dra Legata, Pragera, Maliniaka, Rappaporta, Hilarowicza, Łunińskiego etc., etc.— życzymy mu szczęścia. Jeden „wolny uniwersytet" dla ludzi nie mających matur gimnazjalnych jest może w Polsce potrzebny. Ale niechże ten wolny uniwersytet będzie istotnie w o l n y m, przeznaczonym dla ludzi, poszukujących wiedzy, niezależnie od uprawnień. Jeśli stać nas na taki typ szkoły, tem lepiej dla naszej kultury.

Ale jeśli nas nie stać, jeśli ta szkoła „bokami robi", to poco sztucznie podtrzymywać jej egzystencję przy pomocy różnych uprawnień, zmieniających całkowicie jej charakter i może niebezpiecznych dla kultury polskiej? Poco słuchaczom tych kursów wieczornych, jakiemi w istocie rzeczy jest Wolna Wszechnica, przyznawać np. prawa odroczenia służby wojskowej, rozległe prawa w szkolnictwie powszechnem, a teraz jeszcze prawa magisterjów dla szkolnictwa średniego? Jest to zamienienie na uniwersytet szkoły, która i z założenia swego, i z typu studjów, i z charakteru studentów bardzo daleką jest od uniwersytetu. I czy w Warszawie istotnie potrzebny jest drugi uniwersytet?

Być może, że potrzeba go dla jakichś tajnych czy jawnych celów sfer dzisiaj wpływowych, ale jako żywo nie dla polskiej kultury.

T. JÓZEFOWICZ

*) Późniejszych danych wyznaniowych nie zdołaliśmy zdobyć, gdyż o ile wiemy Rektorat od czasu tej fatalnej statystyki przestał wogóle publikować dane wyznaniowe!

NAUKA I LITERATURA

HENRYK PONTOPIDAN

AUTOR ten jest może najmniej sławnym w gronie laureatów Nobla. Odznaczenie jego przypadło na lata wojny, kiedy mało zwracano uwagi na literaturę i kiedy sam ten pisarz już niemal rozstał się z literaturą, a w każdym razie nie tworzył już dzieł równie wybitnych jak poprzednio. Ale nawet gdy był u szczytu swego rozmachu twórczego, nie cieszył się zbyt wielkim rozgłosem. Powód był ten, że gdy inni, jemu współcześni skandynawowie, jak Ibsen, Strindberg, Björnson, poruszali sprawy i tematy, mające charakter ogólnoludzki, Pontopidan zasklepił się w opisywaniu życia małej swojej ojczyzny, Danji. Życia tego został najlepszym i niedoścignionym znawcą i malarzem. Jednakże był jeszcze ważniejszy powód, dla którego twórca ten dopiero na schyłku żywota doczekał się szerszej sławy. Oto wraz z Dalmanem, Jörgensenem i Gjellerupem należał do tych śmiałków, którzy odważyli się stanąć do boju przeciwko ówczesnemu potentatowi i tyranowi literackiej Danji, Jerzemu Brandesowi. Literatura duńska pod koniec w. XIX silnie była zawojowana i zahukana przez klikę żydowską (podobnie, jak dziś dzieje się w Polsce) i każdy głos śmielszy, każdy krok samodzielny i prawdziwie narodowy był ośmieszany, potępiany lub co gorsza, obarczany klątwą milczenia. Nemezys chciała, że dziś o Brandesie i o jego szkole ledwie się mówi, a właśnie czterej „buntownicy" są w całym świecie głośni i poczytni...

W Polsce dotąd — dzięki „Bibljotece Laureatów Nobla" — znane były tylko „Ziemia obiecana" i „Djabeł domowego ogniska". Czeka przekłady najlepsze dzieło Pontopidana „*Döde Rikke*" („Martwe królestwo"). Świeżo wyszła w przekładzie polskim dwutomowa powieść jego, nosząca w oryginale tytuł: „*Lykke Per*" — „Szczęśliwy Per" — który przerobiono na bardziej swojski: „W czepku urodzony". Bohaterem tej powieści jest syn pastora, Per Sidenius (w przekładzie niewiedzieć czemu Piorem przezwany), który przejęty duchem samodzielności i samowoli, wyłamuje się z pod władzy rodziców, zrywa z rodziną i szuka szczęścia w świecie. Szczęście istotnie doń się uśmiecha; najmielsze projekty Pera, jak przebudowa systemu kanałów morskich, choć uznane przez wielu za fantastyczne, elektryzują ogół i zyskują mu popleczników w sferach żydowskich. W sferach tych staje się Per większym jeszcze, niż przedtem, wrogiem chrześcijaństwa, które mu dotąd było obrzydło wskutek atmosfery domu pastorów. W sojuszu z żydowską plutokracją szuka sposobności do wywyższenia się i zysku, ponadto oddziaływa nań wpływ króla smaku literackiego Danji (kopja żywa Brandesa), który nosi tu charakterystyczne, z dramatu Lessinga pewno przejęte, nazwisko: „doktór Natan", w artykułach często zmieniane na „dr. Satan"; nie od rzeczy będzie nadmienić, że nazwisko Natan nosił ów burmistrz Rzymu, który w pamiętnych mowach odgrażał się, że zagasi „kaganek chrześcijaństwa, symbol ciemnoty". Romansując z żydówką Jakobą, Per strzela do krucyfiksu i rzuca przekleństwo chrystjanizmowi. Jednakże pod wpływem śmierci matki — którą Per podświadomie kochał, choć się jej wypierał przed ludźmi — oraz pod wpływem innych okoliczności młody ateusz zwolna przeobraża się duchowo, zaczyna wyzwalać się z materjalistycznej atmosfery judajskiej. Warto zwrócić uwagę na pewną styczność tej duchowej metamorfozy z motywem „Hetmanów" Weyssenhoffa; wnosić można stąd, że w społeczeństwie duńskiem odczuwało się przed laty czterdziestoma podobne symptomata bolączki i pragnienia, co i u nas... Przekład Mirandoli dobry; doskonałe są zwłaszcza podchwytywania żydowskiego sposobu mówienia.

JÓZEF BIRKENMAJER

ZE ŚWIATA LITERACKIEGO

Zmarł w Warszawie w sędziwym wieku Stanisław Bełza, znakomity prawnik, otoczony szacunkiem działacz narodowy na polu kultury. W czasie wojny był w Warszawie wiceprezesem Pol. Tow. Pomocy ofiarom wojny. Tutaj wytworzył sekcję pomocy kulturalnej dla Śląska i Pomorza, która była czynna pod jego kierownictwem do tej pory. Na polu piśmiennictwa znany był z opisów podróży, którą odbywał po Szwajcarji, Holandji, Algierze, Indjach.

Zmarł nagle w Warszawie Adam Zagórski literat, dziennikarz i krytyk teatralny. Pochodził ze Lwowa. W Warszawie zajmował stanowisko w kierownictwie teatrów. Na jubileuszowem przedstawieniu ku czci Bogusławskiego odegrano jego prolog.

Zmarł w Warszawie Leon Matuszewski, utalentowany dziennikarz, ostatnio dyrektor Agencji Telegraficznej „Express".

*

Polską literaturę wojenno-podróżniczą zbogacił pamiętnik b. oficera Polskiej Dywizji Syberyjskiej, wydany świeżo przez „Ossolineum" we Lwowie (K. Giżycki: „Przez Urjanchaj i Mongolję"). Pamiętne lata 1920-21. Dywizja Syberyjska kapitulowała przed bolszewikami. P. Giżycki mówi o tem, jako o katastrofie, której można było uniknąć energiczną akcją wojenną przeciwko bolszewikom, a która pociągnęła za sobą tysiące ofiar krwi polskiej... P. Giżycki, nie ufając obietnicom bolszewickim powędrował w głąb tajgi, a potem jako tułacz, myśliwiec, partyzant oddziałów antybolszewickich, poznał bogaty, żyzny Urjanchaj i stepową, pełną stad Mongolję. Znajdujemy w książce rzeczowe a zajmujące opisy przyrody, bogactw mineralnych, które wprost pod ręką tam leżą (złoto, miedź, ołów, grafit, sól, rubiny, ametysty i t. d.) zwierząt o kosztownem futrze, tubylców-sojotów i mongołów, ich świątyń, wierzeń, organizacyj społecznych i t. d. i bolszewików. Autor jak i Ossendowski, zetknął się i nawet walczył pod dowództwem słynnego generała barona Ungern Sternberga. Człowiek ten, który rozwinął chorągiew Czyngis-chana, mógł stać się władcą Azji i był istotnie postacią epicką. Książka p. Giżyckiego nadaje się dla powieści historycznej jako ciekawe źródło.

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

P. Serge de Chessin, korespondent *„Echo de Paris"* w Stokholmie, bystry obserwator świata międzynarodowej dyplomacji, w szczególności bolszewickiej, wydaje interesującą książkę *„Excellences"* (Ferenczi). Nie potrzeba chyba dodawać, że nazwy państw, jakie owe „ekscelencje" reprezentują, są fikcyjne. Podobnie zaś jak po wojnie zrodziła się nowa kasta ludzi, t. zw. *„nouveaux riches"*, tak i powstała specjalna kategorja dorobkowiczów dyplomatycznych. Tych zaś nie oszczędza ostre pióro p. Chessin.

Saint-Greuze, sekretarz ambasady, na swojem nowem stanowisku przy Legacji Baltiestad, studjuje „rocznik" dyplomatyczny Nowej Europy. Jest to raczej księga adresów telefonicznych, w której nie ostatnie miejsce zajmuje lista różnych delegacyj bolszewickich. Jeżeli Saint-Greuze znajduje się w Baltiestad, to dlatego właśnie, iż przy tamtejszej Legacji Sowieckiej pracuje jako daktylografka księżna Nina Basmanowa. Zrujnowana przez rewolucję, księżna ta przyjmuje z rąk Sowietów ową posadę, aby zbliżyć się do Saint-Greuze'a. Dyplomacja bolszewicka potrafi jednakowoż tak zręcznie posłużyć się „księżną-daktylografką", że ta przyczyni się mimowoli do spowodowania klęski jenerała Wrangla i wreszcie zabija się. Jednakowoż w książce p. Chessin nie romans zajmuje pierwsze miejsce, ale przedewszystkiem galerja typów tych nowych dyplomatów, którzy w stolicach bałtyckich, na służbie Sowietów, są raczej ajentami „Czeki", aniżeli dyplomatami, jakkolwiek przyswajają sobie ich sposób bycia, zachowując jednakowoż służalczość charakterów, chciwych na złoto bez względu na jego pochodzenie.

*

P. Charles du Bos wydaje (u *„Sans Pareil"*) niezmiernie ciekawą pracę poświęconą Byronowi. Z przenikliwością nadzwyczajną psychologji odmalowuje on wewnętrzny fatalizm poety, któremu ten zawdzięczał zarówno swe największe nieszczęścia, jak wielkie chwile swego genjalnego natchnienia.

*

Arthur Rimbaud posiada w p. Marcel Coulon wiernego biografa. Wydał on już poprzednio rzeczowe prace o autorze *„Bateau Ivre"* a mianowicie *„Le Problème de Rimbaud, Au coeur de Verlaine et de Rimbaud"*. P. Coulon publikuje obecnie w wydawnictwach *„Mercure de France"* nowe studjum o niezwykłym poecie, oparte o solidną argumentację i interpretację lojalną, a które nosi tytuł *„Sur la vie de Rimbaud et de son oeuvre"*.

TEATR

KOMEDJA HISTORYCZNA NOWACZYŃSKIEGO

Twórczość literacka w Polsce ma swoją dwupolówkę (z ugorami). Jedno jest pole wielkiej poezji, zwanej wieszczą, a drugie literatury realistycznej, tworzonej w bezpośrednim stosunku autorów do rzeczywistości. Oddzieliła się w ten sposób wielka poezja za czasów emigracji po 1831 roku, ale w tendencji tego rozdziału upatrywać można tradycję dawną istnienia dwu literatur— religijnej i świeckiej.

Zwłaszcza, gdy w grę wchodzi największy z tematów publicystycznych: naród (sprawa narodowa) z jego historją lub przyszłością—duch poetycki od czasów Woronicza wybiera drogę górną dociekań metafizycznych i dążeń religijno-mistycznych, jakby się bał profanacji lub uważał temat za niezbyt dojrzały do realistycznego traktowania. Ten sposób patrzenia na realne sprawy bytu okupić można tylko zdobyczami wielkiego artyzmu. Naśladownictwo i manjera w tym kierunku szerzy tylko spustoszenia w kulturze, czyni bowiem z tego, co ma być rzeczywistością, rzecz odświętną—ze świata symbolów.

To też literatura normalna dąży do akomodowania tych dwu pól widzenia i normalnie oba oczy powinny widzieć jedno. Wyspiański ściągał widzenie Polski gwiezdne na pole historyczne, robił to nawet polemicznie w stosunku do romantyzmu, ale w poziomie tak oderwanych idej poetyckich, że tylko niekiedy, jak meteoryty, spadały ku nam dowody, jaki jest Wyspiańskiego stosunek do rzeczywistości polskiej. A że tego stosunku myśl powszechna pragnie się od literatury pouczyć, więc jak wskazania prawodawcze przyjmowano każde słówko z „Wyzwolenia" o stosunku do dnia dzisiejszego, do rodziny, do obcoplemieńców i t.d. I te słówka właśnie robiły Wyspiańskiego popularnym.

Adolf Nowaczyński jest przeciwieństwem Wyspiańskiego, aczkolwiek w tem samem mieście Krakowie i w czasach tego wielkiego poety się wychowywał. Nowaczyński jest przedstawicielem—krótko mówiąc—literatury krajowej w przeciwstawieniu do wielkiej, emigrującej ze świata rzeczywistości, przedstawicielem tej literatury, która ze współczesnością pracuje nad kulturą—to znaczy uczy, jak się uczyć rzeczywistości.

Wyspiański spełnił dużą misję. Poszedł po tych, którzy byli w obłokach, i sprowadził ich na teren historyczny. A w Nowaczyńskim pokutuje jakaś misyjność dalsza kultury: oduczyć ludzi mazgajstwa, przedewszystkiem oduczyć obłudy, że można kochać Polskę tylko za jej szczytność w dziejach. Nowaczyński należy w literaturze ze swoją osobliwą naturą do tych, którzy pragną urealnić stosunek do narodu i jego spraw. W najnowszej sztuce Nowaczyńskiego, wystawionej teraz w teatrze Narodowym, mieliśmy sposobność stwierdzić, na czem ta osobliwość natury jego polega.

Autor dał sztuce nazwę „Krakowskiej komedji historycznej" oraz dwa tytuły: „Wiosna Narodów" i „W cichym zakątku".

Rzecz dzieje się w Krakowie w kwietniu 1848 r. Nastroje rewolucyjne, wstrząsające wówczas całą Europą, dały się tutaj odczuć tem żywiej, że Kraków poruszony był do żywego krzywdą, wyrządzoną mu dwa lata temu, jako wolnemu (od r. 1815) miastu. Rozpolitykowanie było wielkie wśród obywateli, którzy długo jeszcze poczuwać się będą do odrębności wobec Galicji i do wyższości. Nie tyle naród tutaj się buntował przeciw zaborcom, nie tyle Galicja, ile wolny Kraków. Wielkość

haseł i gestów nie miała dostatecznej proporcji do wielkości b. republiki i wymiaru ludzi. Owa republika liczyła w swoim czasie niespełna 100.000 ludności, a w tem Kraków koło 25.000. Motywy zaś kongresowe darowanej miastu „wolności“ były tylko te, że zaborcy kłócili się, kto Kraków ma zabrać i narazie ułatwili sobie w ten sposób rozgrywkę. Po 1846 zaczęły świtać nadzieje, zwłaszcza od marca 1848, kiedy Galicji udało się uzyskać pewne wolności konstytucyjne. Motywem, na którym Austrja się oparła, wcielając Kraków do Galicji, było to, że Polacy pod osłoną neutralności hodowali tutaj spiskowców: przechowywali emisarjuszy z emigracji, którzy stąd działali na całą Polskę.

Mieszały się tedy w Krakowie w r. 1848 motywy niewspółmierne: wielkiego dramatu ogólno-polskiego z ambicjami byłych senatorów wolnej republiki i patrycjuszów mieszczan, przeważnie... niemieckiego pochodzenia. Te właśnie niewspółmierności zainteresowały Nowaczyńskiego.

Naturą talentu tego pisarza jest właśnie to, że oczy jego widzą ciągle n i e w s p ó ł m i e r n o ś c i. Jego humor ma nieustające źródło w dwoistości uczuć na widok ludzi marnych, którzy nie widzą jak wielkie rzeczy przy nich, a nieraz przez nich się dzieją. Nowaczyński widzi jednocześnie w rzeczach pospolitych linje wielkiego znaczenia dziejowego i odwrotnie w wielkich wydarzeniach strony marne. To go wprawia w stan humoru; włada nim uczucie śmieszności.

Śmiać się złym śmiechem — to niszczyć, poniżać przez wywyższanie siebie. Ale Nowaczyński przekreśla w sobie patos śmiechem dobrym. Bo jednocześnie z poczuciem rzeczy wielkich ma wiele w s p ó ł c z u c i a dla spraw, na które patrzy. Taki humor — to mieszanina śmiechu z tkliwością.

Tworzenie obrazów, z tego podwójnego stanowiska widzianych, jest niezmiernie trudne, zwłaszcza przy temperamencie Nowaczyńskiego, pracującego umysłowo w sposób hulaszczy, przy ciągłem uganianiu się za materjałem bieżącym dla swego publicystycznego talentu. Łatwiej nastawić się na patos, lub zgoła na szyderstwo. Ale łączenie śmiechu z tkliwością, pogardy z pobłażliwością jest ciągłą syntezą, która wymaga pogłębiania się duchowego w stosunku do spraw w dziele poruszanych. Obserwując na scenie dzieło Nowaczyńskiego, doznajemy nieraz obawy, czy ta synteza go nie zawiedzie, czy szarża humoru nie przyniesie uszczerbku artyzmowi.

Mocną stroną Nowaczyńskiego, gdy traktuje o sprawach Polski, jako to, że nie zawodzi go poczucie prawdy historycznej. Zdarzenia i figury ustawiają mu się trafnie według tego wymiaru dziejowego. Zna też historję uczuciowości polskiej, wie ile rzeczy odważyć trzeba na głupotę i niewytrzymałość, a ile na dobrą naturę ludzi, niewytrzymałych również w złem. Z krytyką zjadliwą łączy się w Nowaczyńskim, jako dramaturgu, wyrozumiałość i ta rozbraja widza, któryby chciał z nim się spierać. Rozbraja nie tyle syntetyczna myśl, której zresztą autor nie wysuwa dydaktycznie, ile jego uczuciowość, czyniąca syntezę z pesymizmu i optymizmu. Cała sztuka Nowaczyńskiego mieni się od tych zmiennych zabarwień; bohaterowie jego ośmieszeni i całkiem, zdawało się, zatraceni na czarno, nabierają dostojności lub bieleją. Z nikim Nowaczyński nie może się źle rozstać.

To samo zresztą — powiedzmy nawiasem — dzieje się w publicystyce jego, gdzie nie potrafi być człowiekiem ściśle organizacyjnym. Wytrzymuje linję główną; w ubocznych rozdwaja się na wyrozumiałość. W sztuce ta syntetyczność uczuciowa jest siłą pogłębiającą stanowisko autora.

Nowaczyński zna Kraków dawny (jest z tych lat mnóstwo pamiętników), ale widzi go poprzez Kraków dzisiejszy. Dlatego zaś rozumie Kraków dzisiejszy, że zna go historycznie, że wie skąd się wzięły w tym „cichym zakątku“ wynaturzenia narodowe, pokryte pozorem wielkiej polityki. Kto się boi, czy Nowaczyński nie uchybił patrjotyzmowi Krakowa 1848, niech sobie pomyśli, że mógł napisać komedję krakowską z lat wojny, nieskończenie dla Krakowa przykrzejszą. O ileż pogodniejsze są ówczesne „Barany“, ugodowy Gaudenty antykwarz i in. od późniejszego „enkaenizmu“ Krakowa stańczykowsko-socjalistycznego.

Z tego też względu sztuka Nowaczyńskiego ma swoje aktualne znaczenie, nie jest, jako oświetlenie krytyczne stosunków krakowskich, rzeczą spóźnioną. Dzisiejsi wrogowie Nowaczyńskiego może sami nie zdają sobie sprawy z tego, że nienawidzą go za jego dawne stanowisko wobec Austrji, jako zaborcy, i za szydercze patrzenie na Kraków z tego stanowiska. Nie zdają sobie sprawy także z tego, że mają właśnie do czynienia z człowiekiem, który się śmieje nawet z wrogów, posuwających się wobec niego do zbrodni, jak było z napadem w Warszawie, lub do skandalów towarzyskich, jak było z nagrodą krakowską za wystawioną teraz sztukę. Z człowiekiem, który się śmieje i pobłaża, którego żywiołem jest widzieć śmieszność niewspółmierności między szczytnością dziejów a małością zdarzeń i ludzi, między pozycją pisarza narodowego i wojującego z nim bandyty.

Nigdy nie jest późno uczyć się historji. Literatura nasza w Galicji nie mogła oświetlać należycie naszego istotnego do Austrji stosunku, a pod zaborem rosyjskim nam nie wypadało. Uczyliśmy się tedy prawdy dziejowej jedynie w Galicji, a z tej nauki wynikało, że tylko jeden zabór rosyjski nam dolegał. Nowaczyński poznał Austrję i Prusy („Fryderyk Wielki“); on ślady tych zaborców wyczuwa dziś jeszcze na duszach polskich. Tym to duszom zgóry sztuka się nie podobała, ale historja literatury zapisze ją na dobro świadomości dziejowej narodu.

Z tego, co mówiłem o naturze talentu Nowaczyńskiego, wynika, że teatr wystawiając sztukę jego, bierze na siebie dużą odpowiedzialność. Bo skoro niebezpieczeństwo podwójnego widzenia i wynikającej stąd śmieszności, polega na tem, aby nie zatraciło się poczucia prawdy historycznej leżące pod spodem krotochwili, to bardzo łatwo reżyserja i aktorzy mogą charakter dzieła w wykonaniu popsuć. Aktorzy muszą rozumieć, co traktować należy wzgardliwie, co ze współczuciem, zwłaszcza w tej sztuce, gdzie tyle scen masowych, gdzie samo słowo nastroju nie robi tyle, ile postawa i rzecz.

Mam wrażenie, że autor zaniechał, wskutek zbytniej ufności, uzgodnić swoją myśl z reżyserską. Stąd pochodzi wrażenie, że w książkowem wydaniu komedja przedstawia się daleko konsekwentniej, niż na scenie. Zbyt bezmyślnie mianowicie wygląda tłum na scenie w czasie ogłaszania ważnych bądź co bądź wydarzeń i zbyt śmiesznie milicja narodowa. Tu powinien być zaznaczony sentyment patrjotyczny.

P. Węgrzyn przejaskrawił w karykaturze sympatycznego Czecha. Pewno, że był koncertowo komiczny i godzien oklasków, ale zasłaniał innych. Kreacją aktorską w dużym stylu jest starosta austrjacki baron Krieg w wykonaniu p. Solskiego. Nielada sztuką jest wygłaszać w sposób tak pozornie łatwy trudne teksty, aż do przesady najeżone słownictwem kilku języków (gadanie austrjackie). Bardzo interesującą postać antykwarza stworzył p. Chmieliński. Na wyżynie równej tamtym artystom stoi gra p. Ćwiklińskiej.

Z. W.

OFENSYWA

BERLIŃSKI WALLACE

PONOSZONA przez wzdęte, zapienione bałwany pansemickiej reklamy namiastkowa wielkość brukowa, berliński bezczelny reporter Emil Ludwig Cohn, korzystając ze świetnej konjunktury, rzuca w świat jeden tom po drugim. To jest poprostu Wallace wyższej intellektualnie Schylockracji europejskiej. Tematy obiera sensacyjno-aktualne. Ledwie skończy jedną pracę, już ma na maszynie drugą, wiedząc dobrze, że po każdej tysiąc szajgeców, różnej maści i przynależności, będzie roztrąbywało jego chwałę i pyszniło się, że znowu „genjusz", i znowu także żyd. Jeszcze nie skończą *Weltblatt*'y omawiać jednego dzieła berlińskiego komiwojażera, już jest na półkach księgarskich „*der neue Ludwig*". Zażarte na monetę żydzisko, trzeba przyznać, imponuje przytem pracowitością, węchem i sprytem. Zawsze wywęszy świetnie, jaki towar może iść, i zawsze daje to, co ostatnio „modne".

Już żydowsko-rządowe pismo „Epoka" we wstępnym artykule jakiegoś anonyma omawia ostatni fabrykat Emila Ludwika Cohna, polityczno-historyczną dyssertację o wybuchu wojny europejskiej, w której to dyssertacji *Weltberühmtheit* „Emil Ludwig" chytrze i perfidnie broni Niemców przed zarzutem sprowokowania europejskiej wojny, a wszystko zwala na nienawistnych semitom Słowian-Rosjan... a jeszcze nasze pisma nie przestają omawiać przedostatniej książki, przetłumaczonej na polski, czelnej książki o Jezusie Chrystusie.

To ostatnie dzieło wydała galicyjsko-wiedeńsko-żydowska firma wydawnicza niejakiego Francka Erdtrachta. Obskurne żydzisko z Wschodniej Galileji jakiś czas grasowało w Wiedniu. Tam się zwąchało z pieniędzmi i zaczęło na wielką skalę wydawać pornograficzne powieści, głównie Margueritte'a. Trzepnięte po brudnych łapach, powzięło zamiar rehabilitowania się. Wydawszy jakieś piętnaście tomów seksualistycznej mierzwy, żydzisko Erdtracht weszło w kontakt i z porządnymi a zabiedzonymi pisarzami polskimi. W międzyczasie obskurne indywiduum wdało się też i w sprawę Zagórskiego, wplątawszy w to kilku wywłoków wiedeńskich i agentów z II Oddziału. I znów żydzisko dostało po brudnych łapach. Wtedy puściło się na imprezę na wielką skalę z powieścią p. t. „Wódz" G. Olechowskiego. I znów zdemaskowaliśmy niepachnącego kasztana, i znów dostał po łapach, no, a co się nacierpiał biedny Gucio Olechowski, dawszy się skusić na taki geszeft i zadawszy się z takiemi śmieciarzami, to już jego rzecz. Aby się znów zrehabilitować, obskurny Franck wydał niedawno tłumaczenie jakiejś francuskiej książki o dzisiejszym Ojcu Świętym, a krakowski „Czas" takie *opus*, nakładem „*Renaissance*" wydane, pochwali w dwóch fejletonach w lipcu, drukując wyjątki! Równocześnie z tą książką, czelny aferzysta z Podwołoczysk czy z Brodów wydaje „Ludwiga": „Syn Człowieczy", książkę o Chrystusie, w tłumaczeniu dziwnie fanatycznego, zaciekłego protestanta-samouka, p. Hulki-Laskowskiego.

Począwszy od Renana i D. Straussa, na ten temat, podniosły ze stanowiska agnostycyzmu, rzucało się piór bardzo wiele. Dużą sensację wywołał swą książką w Paryżu stary historyk, także i kurtyzan z 18 wieku, żyd Reinach podczas wojny fanatyczny defetysta, z czego powstała znana bulwarowa gra słów *rei—nach—*Berlin. W r. 1926 w Ameryce książkę o Chrystusie wydał żyd dr. J. Klausen. Kiedy ośmielił się ją pochwalić postępowy reformator, rabin dr. St. Wise, uznając przynajmniej historyczną osobowość Chrystusa, rzucili się nań ławą wszyscy amerykańscy rabini ortodoksi, twierdząc, że w ten sposób rabbi Wise obraził czysty monoteizm semicki, z którego rabini są dumni. I zawrzał bój. Dr. St. Wise musiał się zrzec prezesury Tow. Syonistycznego w Ameryce, jako „apostata". Rozpoczęło się okrutne szykanowanie Wisego, po którego stronie stanął miljoner Strauss. I dopiero kiedy Strauss dał 150.000 dolarów na Palestynę na ręce rabina Wisego, dopiero wtedy 200 rabinów ortodoksów zaczęło z nim... pertraktacje. Dr. St. Wise przeprosił.

I oto obecnie miał tupet zwrócić się do tego tematu komiwojażerski intelekt faworyta berlińskiego bankierskiego *Thiergarten viertel* „uczeń", epigon pół Brandesa, pół Hardena, pozbawiony zgoła metafizycznego czucia, modny portrecista Wilhelma II, Edisona, a to znowu Napoleona, a to Mussoliniego, arogancki eklektyk, kompilator i bluffista.

Opus zachwyca oczywiście naszych *Schoengeist*'ów z pism rządowych i żydowskich. „Epoka" nazywa Cohna wogóle „najwybitniejszym biografem naszych czasów, przenikliwym historykiem i pisarzem".

W „Głosie Prawdy", literackim, anonymowiec „naświetla" tak swą recenzję:

„Sądzimy, że Ludwigowi udało się ująć nader pięknie stosunek symboliczny między postacią św. Jana Chrzciciela i Chrystusa. Stosunek ów wyprowadził autor z wielką powściągliwością i potężną siłą suggestywną. Znakomitą jest i pouczającą, i świeżą w barwach charakterystyka faryzeuszów, jako czynnika społecznego i narodowego w życiu nowoczesnych żydów. Przy każdorazowem zetknięciu się Chrystusa z elementem pogańskim, Ludwig określa stosunek Syna Człowieczego do świata pogan, jako stosunek pełen wieszczego odczucia przyszłości i najwyższej miłości człowieczeństwa. Autor z wielką zręcznością dobrego psychologa tłumaczy postawę Syna Człowieczego w odniesieniu do rodziny (do matki na weselu w Kanie Galilejskiej). Oto—mniej więcej—naczelne zdobycze książki".

Entuzjastycznie odnosi się do dzieła Cohna p. Braum *recte* Braunstein, główny recenzent literacki „Kurjera Porannego" t. j. brukowca, stale i z całym faryzeuszowskim cynizmem nakładającego od święta maskę katolicyzmu.

„Sygnał, jak zwykle, dają myśliciele i poeci. Książka Ludwiga jest niewątpliwie jednym z tych sygnałów. Niechaj nikt, czytając ją, nie gorszy się, znajdując w niej tłumaczenie wielkiej myśli duchowej Chrystusa na sposób czysto ludzki. Niech się nikt nie gorszy, widząc w niej nietylko wzloty podgwiezdne, ale i załamania tego Cichego Olbrzyma—i znajdując w niej realne wyjaśnienia i wielu Jego czynów i cudów.."

Tak piszą pisma rządowe pół lub całkiem semickie.

Inaczej osądzają to Polacy wyznania rzymsko-katolickiego. Ksiądz J. Rostworowski, S. J. rozesłał do prasy ostrzeżenia z prośbą o przedruk, do której to prośby żadne z pism żydowo-rządowych oczywiście już się nie zastosowało.

I oto ksiądz Rostworowski pisze:

„Otóż jest to książka, której, mimo niezaprzeczonego talentu autora i tłumacza, żaden katolik nie powinien brać do ręki, i żaden dom katolicki w progi swoje przyjmować W dziele tem nie abstrahuje się tylko bóstwa Chrystusowego, ale od początku do końca świadomie i tendencyjnie mu się zaprzecza; Chrystus był człowiekiem i tylko jako człowiek pomylił się co do swego posłannictwa i zginął; całe jego ubóstwienie dokonało się jedynie w wierze, t. j. w imaginacji potomnych. Cała interpretacja ewangelji przykrojona jest do tej tezy, tj. spaczona i fałszywa".

Ale ksiądz Rostworowski zwraca uwagę jeszcze na jedno oszustwo obskurnej firmy „*Renaissance*". Mianowicie indywiduum Frank Erdtracht usunęło z przedmowy Ludwiga ustęp, w którym Cohn lojalnie zaznacza, że jego stanowisko jest antykatolickie, bezwyznaniowe. Natomiast indywiduum dodało jakiś certyfikat, z nazwiskiem jakiegoś księdza aprobującego postawę E. L. Cohna, rzekomo nie przeczącego przecież boskości Chrystusa. Otóż takiego księdza w skorowidzu księży katolickich niema, znów więc podstęp niegodny.

Na taki tedy szwindel tego Erdtrachta zgodził się tłumacz i pisarz zdawałoby się niezależny, Hulka.

Ostrzegamy jeszcze raz, tak przed tą książką, jak i przed innemi „dziełami" berlińskiej znakomitości, i tak pularnej i poczytnej dziś, jak Wallace.

Można przeżyć, nie zaczytując się ani w jednym ni w drugim.

ADOLF NOWACZYNSKI

NA MARGINESIE

Zaznaczając łączność niemieckiej propagandy antypolskiej i propagandy pacyfistycznej, zmierzających zgodnie do... odebrania Polsce Pomorza, pisał niedawno Anglik, D. Graham, w redagowanym przez Chestertona tygodniku „*G. K's Weekly*":

„Jest widoczne, że przygotowuje się jakąś nową zbrodnię i jest rzeczą tylko zbyt pewną, że tę zbrodnię popełni się w imię pokoju".

W Polsce propagandę pacyfistyczną szerzą przedewszystkiem żydzi. Widzimy ją i w opozycyjno-socjalistycznym „Robotniku" (organ pp. Szapiry i Posnera) i „sanacyjnych" dziennikach: „Głosie Prawdy" (pismo pp. Sokołowa i Breitera), oraz „Epoce" (pismo pp. Wassercuga i Grosterna). W imię „miłości bliźniego" rozpowszechnia ją nawet niekiedy chrześcijańsko-demokratyczna „Rzeczpospolita", gdzie naczelnym publicystą został ostatnio p. Aron Handelsman (Stanisław Targowski?)...

Przypominamy Sz. PP. Prenumeratorom, że czas odnowić przedpłatę na kwartał IV.

Egzemplarze nieopłacone za kwartał III-ci zostaną wstrzymane.

Do niniejszego zeszytu dołącza się czek na P. K. O. Nr. 3.105.

TREŚĆ: Konfederacja skompromitowanych *J. Rembielińskiego.* — Na służbie porządku *R. Piestrzyńskiego.* — Masonerja a związki „profanów" *M. Wierzbiny.* — Literatury słowiańskie *E. Klicha.* — Strofy *St. Bąkowskiego.* — Liberum veto *Al. Świętochowskiego.* — Głosy: Katolicyzm a pacyfizm *St. St.*; Arabskie endeki *Krak.* — Wychowanie narodowe *T. Józefowicza.* — Nauka i literatura (Henryk Pontopidan *J. Birkenmajera* i t. d.).—Teatr *Z. W.* — Ofensywa *A. Nowaczyńskiego.* — Na marginesie.

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 2545. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr 17, 2-gie piętro. Tel. 1290.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45. Konto czekowe na P.K.O. 3.105

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI — Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI

Druk. A. Michalskiego, sp. z o. o., Chmielna 27. Telefon 27-15. — PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM